

353

# ŹRÓDŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU

NAPISAŁ WACŁAW BERENT

Wytłoczono jako odbitkę  
z „CHIMERY” 1000 zwy-  
kłych, oraz 10 wytwornych  
(liczbowanych) egzempl.

odbi. „Chimere”

7.12.71

1817

☞ ☞ ☞ ŹRÓDŁA I UJŚCIA  
NIETZSCHEANIZMU.

NAPISAŁ WACŁAW BERENT. ☞ ☞

WARSZAWA 1906. NAKŁ. J. MORTKOWICZA.

nakł.

*[Handwritten signature]*

*[Handwritten mark]*

H-17219



Nr. 355

ANGELSKIE  
TOWARZYSTWO FILOZOFICZNE

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFiS PAN i PTF

**T.1817**



29001817000000

---

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 февраля 1906 года.

I.



czasach, gdy możliwie szybkie wykształcenie ku możliwie rychłej sprawności zarobkowej wyklucza nieomal zupełnie wszelką kulturę,— „gdy ta najlotniejsza i najbardziej eteryczna bogini stała się dziewczką i dójką zarobku... gdy wszystkie po za granicę pożytkową wybiegające dążenia popadają coraz to wyraźniej w lekceważenie i pogardę... gdy heroldzi oświa-

ty ludowej, widziani zbliżka, okazują się fanatycznymi wrogami prawdziwego ukształcenia,“ — w czasach takich pytanie wartości naszej kultury, oraz jej wskaźników na przyszłość, narzuca się z nieodpartą siłą. Podział pracy do-

prowadza powyższego ducha kultury do dalszych konsekwencji, podział pracy tyranizujący nawet uczonych, którzy po za ciasnym zaprzysięgłym zakresem swej fachowości staczają się w rzeczach ogólnych i najogólniejszych coraz bardziej na intelektualny poziom trywialnej popolitości.

„Wszystkie pytania najogólniejszej i najpoważniejszej natury, wszystkie miary, wagi i wskaźniki życia, wszelka łączność między pojedynczemi wysiłkami ludzkiemi, wszystko, co z chaosu tworzy kształt życia, stało się niepodzielnem władaniem dziennikarza.“ — Ogarniając bądź co bądź szersze widnokregi życia, myśli on za innych, on kształci, wychowuje, on kieruje nawa, doprowadzając ducha współczesnej oświaty do jego ostatecznych granic i konsekwencji.

Za sprawą tego ducha „rozlegają się miasta wrzaskiem uczonego motłochu,“ „zaludniają się pokoje i sale pretendentami do nauki, rozumu i dowcipu, na których wspomnienie drży rozsądek, a które raczej lazaretami moralnemi nazwaćby należało.“ — Że nie są to twory wyłącznie obcego życia i wczorajszego poczęcia, świadczą bodaj powyższe słowa Jędrzeja Śniadeckiego. Różnica jest tylko ta, że wówczas były to wytwory nowe i naprzykrzające się zaledwie rozsądkowi, zaledwie pierwsze plewy w plonach Komisji Oświecenia; dziś zaś stanowią one atmosferę, w której żyć i działać wypada, są nieuniknioną, a tyranizującą instancją wszechwładnej *chwili*, są żarnami, w których najsiewniejsze nawet ziarna rozpylają się na chudą strawę codziennie nowej ciekawości.

Tkwiąc w tej atmosferze sądów kapryśnych i fałszywych, sądów dusznych, bo nie wychodzących najczęściej po za granice ludzkiej próżności, interesów i potrzeb, — zniewolone życiem do nieustannych na rzecz ich ustępstw, połowicznych zgodności i kompromisów, — nিকczemnieją

największe nawet zdolności, mając pozornie do wyboru już tylko uparte wyjaławianie się w gorzkiej melancholii, w cierpkim i bezcelowem (bo nieochoczem) odosobnieniu.

„A niemasz nic załośniejszego, nad ludzi, którzy zmięli się ze swym geniuszem.“ Zezujący na prawo i na lewo, zazdroszczący każdemu jego każdości, bakałarzujący jak te dawne dziady po wszystkich gościńcach, czyhający z zawziętą radością na wszystko chybione, upokorzeni do głębi wszyskiem, co udane, — ludzie ci żyją już tylko negatywnie uświadamianiem sobie szkód, jakie inni przynoszą. To jest karmem i miodem ich ducha, kołowrotem dla ich myśli. Obmierzłem staję się wreszcie obcowanie z temi ludźmi, których niepospolita nieraz inteligencya odzyskuje całą swą żywość, nagłość i prężność wobec rzeczy ujemnych, a staję się kapryśną, gnuśną, zdechłą wobec dzieł i czynów dodatnich.

Gdzie się atmosfera tem tchnieniem bakałarstwa zaęści, tam każde ochocze poczynanie grzęźnie jak ta siekiera z przysłowia. A biada temu, kto prócz ochoczości ma jeszcze i cierpliwość do stracenia. Gdyż owo niebezpieczeństwo życia wyłącznie negatywnego — smutno i wstrętnie uświadomić to sobie — grozi właśnie najlepszym, najofiarniejszym: stracił cierpliwość i zaczyna walczyć; w rezultacie tylko sam przejmie zarzę. Bo tajemnica tej zarazy psychicznej tkwi we wrogościach drobnych, jest jadowitym wawrzynem małego zwycięstwa.

Im rzetelniejsze i głębsze zadatki, tem rozpaczliwiej szamotać się muszą w tej pajęczynie zapleśniałych kątów; im szlachetniejsze płonki, tem rychlej więdną w tem zatechłym powietrzu. — „Bądź sobą!“ — te najprostsze słowa nie dochodzą do nich nigdy, słyszą natomiast nieustanne: „bądź czemś dla kogoś lub czegoś.“ Gną się tedy, naginają i łamią do obowiązku. Łamią się najtragiczniej, bo

w ten obowiązek przez pół już tylko wierzą, natomiast sobą jako bierną ofiarą gardzą całkowicie i rzetelnie.

„Kim jesteś? coś najbardziej ukochał? co twą duszę pociąga, opanowyywa i uszczęśliwia najbardziej?“ — kto z młodych i gdzie takie pytania dziś słyszy. A każdy z nich czuje tłumionym instynktem życia, że naokoło nagromadziło się mnóstwo gruzu z rzeczy, które niegdyś żyły, a dziś w imię troskliwej obłudy nieuprzątane wytworzyły mur graniczny między duchem i wolą, książką i życiem, każdą ideą a jej czynnem ujawnieniem.

Ów mur, wyłącznie zarobkowy duch dzisiejszego wykształcenia, działalność tłumiąca bakałarza i kierownicza dziennikarza: oto czynniki wychowawcze młodego pokolenia.

Bluszczowe to i kobiece natury ci wszyscy, którzy po to tylko żyją, aby poczynali i rodzili, i tem zawczasu przyziemnie karleją, że nie znajdują w otoczeniu oparcia, i tem też wiedznią przedwcześnie, że, gdy jeszcze samodzielnie żyć nie zaczęli, już wszystko naokół wyjaławiać ich się stara.

I oto znajdzie się ktoś, co wątlnością pierwszych poczynań i szamotania się młodzieńczego nie pogardzi jak otoczenie, nie zlekceważy ich jak bakałarz, lecz ujrzy w tem najlepszych zadatków wyraz bezsilny. Nie człowiek to może (i lepiej, że nie człowiek!), lecz książki duch, w najlepsze wnętrza zapatrzone najszlachetniejsze oko, oko rozumne, co z ośmieszanego entuzyazmu rozgrzesza, oko płomienne, co samo ten entuzyazm nieci, duch szczodry, co wir poczynań w tobie budzi i to nagle prężenie się sił, których istnienie w sobie witasz zdumieniem i łzami wdzięczności za życie.

„W tem lgnieniu serdecznem do najrzadszych, najcenniejszych okazów człowieczeństwa,“ — powiada Nietzsche, — „w tej miłości początkowo bodajby służebnej zyskuje dusza jasne, pogardliwe wejrzenie na siebie, lecz



zarazem pragnienie wyjścia po za siebie, ku gdzieś ukrytej wyższej jaśni, i żądzę dotarcia do niej skupieniem wszystkich sił.“ A jest to pierwsze święcenie kultury. Oraz czyn *twórczego wychowawcy*.

Pierwszym duchowym czynem Nietzschego było odczucie potrzeby takiego wychowawcy, odczucie tak intensywne, że ono nakreśliło linie dalszego jego rozwoju, uświęciło to życie celem. A wówczas człowiek zwykł się oddawać na służbę i ofiarę swemu dziełu, a pustelnicтво jest takiego życia koniecznością. W języku najniepoprawniejszych marzycieli dzisiejszych zwie się taka egzystencja nieobecna — życiem w treść najbogatszem.

Pisma z tej epoki stoją pod wpływem Schopenhauera i pod znakiem uwielbienia dla Wagnera. Nie należy wszakże zapominać, że i filozofia Schopenhauera i sztuka Wagnera miały dlań przedewszystkiem znaczenie kulturalnej dźwigni: pierwsza jako najgenialniejszy może wyraz niemieckiego ducha, do którego zwracały się podówczas wszystkie lepsze umysły; druga przez potęgę muzycznego wyrazu, przez powinowactwo z grecką tragedją, przez sięgnięcie do najczystszych źródeł poezji niemieckich sag i celtyckich legend, wreszcie przez olbrzymią, dotychczas bezprzykładną koncepcję sztuki. Entuzjazm był pierwszą odpowiedzią młodego wychowawca w lgnieniu serdecznem do tych dwóch geniuszów wieku. Jądro metafizyki Schopenhauerowskiej (aby pominąć sprawę Wagnera) pozostawało na uboczu. Wszakże, gdy ten problem kultury się rozszerzył, gdy objął zagadnienia moralności, genezę i teorię moralu, gdy przybył, przemijający zresztą, wpływ psychologów angielskich i angielskiego pozytywizmu, — upadł wraz z uwielbieniem dla metafizyki i sztuki entuzjazm dla Schopenhauera i Wagnera. Głębszym i dalej sięgającym był wpływ moralistów fran-

cuzkich i wogóle zapoznanie się z pisarzami francuzkimi 17 i 18 wieku.

Mimo wszystko, o uleganiu obcym wpływom może być właściwie wtedy tylko mowa, gdy one odwodzą w przeciwną stronę, gdy w dalszych dziełach gubi się wytycznia pierwszych. Kto kapryśnie chwycić będzie tomy Nietzschego, ten może odnieść wrażenie ustawicznego zwalczania się najróżnorodniejszych wpływów; kto je zechce czytać kolejno, rozumiejąc, że ma do czynienia z dziełem życia, z dziełem dojrzewającym, ten skłonniejszy będzie szukać podziemnych prądów tych myśli, które, cudzemi wpływami pozornie tłumione, dojrzewały stale, i jasny, twardy swój wyraz znajdują w tomach ostatnich.

Inne „sprzeczności“ wynikają ze zgoła odmiennych powodów i tkwią w, tak niesłusznie zwanej, aforystycznej formie pisania; są one często przez pół zamierzone, a nieraz nawet i konieczne. Wszak mowa tu o rzeczy tak ruchliwej, że chwilami wprost nieuchwytej, tak proteuszowej, że już odmiennej, zanim ją pojęcie ogarnęło, a słowo nazwało; wszak mowa tu o przejawach duszy ludzkiej.

Srodki ku oddaniu tej ruchliwości w sprzecznościach posiada artysta plastyk dzięki narzędziom obrazu, symbolu, życia. Cóż ma czynić operujący pojęciami analityk, zwłaszcza gdy jest „wirtuozem w pytajnikach,“ gdy upodobał sobie „skoki i uskoki“? Czy nie spróbuje np., wzorem artysty, krótkim, bocznym błyskiem światła, sugerować nam przedmiotu w kształtach i perspektywie niezwyklej, monstrualnej, na to tylko, aby tem zadrażnieniem wyobraźni uczynić myśl czujniejszą na szczegół, o który chodzi? Czy nie ulegnie złośliwej pokusie: rzec, aby wnet potem zaprzeczyć, — by tą zagadką niespodzianego paradoksu, tym pytajnikiem zawieszonym w powietrzu, nie rzucić w nas niespokojnego zarzewia stu innych pytań zamiast udzielenia jednej odpowiedzi, — bo takie py-

tania mówią nieraz więcej, wiedą dalej, bo nowe pytania i nowa zagadka mają dla badacza więcej uroku niżli uświadamiająca się już odpowiedź, bo w szczęśliwej chwili prześcigają mu się one. Zaś w tych wędrówkach po labiryntach duszy ludzkiej, rodzący się niepokój nowych wątpliwości, jawiący się jakby na żywo, w oczach czytelnika, budzi w nim żywy współudział myśli, zaostrza pobudliwość psychologiczną ku dalszym, bardziej subtelnym zagadnieniom.

Taki pisarz—myśli cudzych na pasku nie wodzi, czytelników chce mieć takich, co myśl wszczętą sami domyślą do końca, pragnie, by jego międzywiersze były dla nich nutami do myślenia, a jego „skoki i uskoki“ — nowej myśli krzyżowym błyskiem, nieomal wezwaniem do sprzeciwienia się jemu.

Te świetności giętkiego stylu stoją nieraz na pograniczu muzycznym: to są prawdziwie nuty wymagające nietylko muzycznego ucha, wprawnych oczu, lecz i giętkości nieomal fizycznej.

Nic tak nie obrażało niedawnemi jeszcze czasy niemieckich profesorów jak świetny styl w książce niemieckiej, — nic też większej nie wzbudza nieufności u ich przykładnych i pilnych uczniów ze wschodu. Nie był to czynnik błahy w tak długim i upartem ignorowaniu Nietzschego przez pewne sfery.

Pisano tedy obficie o filozoficznym i psychologicznym dyletantyzmie wiecznego podróżnika; w ostatnich czasach dopiero zaniechano epitetów dla rozejrzenia się w bogatej puściźnie po dyletancie, który gotów stać się fatalnością dla ludzi fachu. Jeśli idzie o dyletantyzm, to niemniej prawdopodobnie mieli prawo do nazwy tej Montaigne, La Bruyère, La Rochefoucauld, Chamfort, ci najwięksi po dziś dzień mistrze i analitycy duszy nowożytnej. — Czy Nietzsche był filozofem w znaczeniu podręcz-

ników? Nie był nim (krańcowo zresztą odmienny) Rousseau, nie był nim (podobniejszy) Voltaire, nie byli nimi w ścisłym znaczeniu i encyklopedyści: zgoła ci wszyscy, pod których panowaniem bywał w nowszych czasach duch ludzki.

Styl Nietzschego, o tak szerokiej skali, staje się wówczas najbardziej giętkim narzędziem, najpotężniejszym środkiem sugesty, gdy o duszy współczesnej mowa.

Rzuca wtedy najśmielsze linie konturów, rzeźbi najjędrniejsze bryły, nakłada najgorętsze barwy obrazów i przenosi, porywa myśl w najodleglejsze dale najzłudniejszymi mirażami symbolu, rozdziera najgnuśniejsze chmury apatii błyskawicami gniewu, płomieniem nienawiści roznieca wszystkie namiętności, niewoli wszystkie uczucia „wnętrznym żarem tonu,“ płoszy je zimnemi błyskami analizy, ujarzmia wreszcie człowieka nagłem, niespodzianem cięciem w głęb', aż do najsukrytszego uczuć nerwu.

Tego przedziwnego narzędzia słowa stał się Nietzsche mistrzem pierwszorzędnym.

Owe zaś przejawy ludzkiej duszy, które tem narzędziem analizuje, są nieraz zbyt migotliwe, zbyt tęczowe, zbyt skłócone, gwarne i wirowe, aby mogły być czem innym ważkie prócz tego jądra *arcyludzkiego*, jakie ukryć się starają, — prócz istotnych „wartości życia,“ prócz probierzy ideałów, jakiemi człowiek opanował dzisiejsze formy życia.

O życiu tu mowa: o jego rucliwej powierzchni, o skrętnych pozorach obłudy, o omamach ideału i morału, wiodących w najciemniejsze labirynty duszy ludzkiej.

Może te napomknienia tłómaczą się już same. Oto mistrz słowa, genialny analityk, niewyczerpany wizjoner obrazów i symbolów, dla którego najbardziej pociągającą zagadką jest życie współczesne i dzisiejsza dusza ludzka: —

taki pisarz nie jestże przedewszystkiem z krwi i instynktów — poeta?

I oto istotna sprzeczność w Nietzschem i skłócenie ducha sięgające korzeniami w głąb' natury wszechludzkiej: ta wieczna rozterka płomiennych uczuć z chłodem myśli; marzycielskiej, tanecznej wyobraźni z surowym spokojem ścisłego wnioskowania; udręki poety, co się za szaleńca jeno ma, za widmo tęczowe, za wygnańca z dziedzin prawdy, z intuicyjnym wycuciem najgłębszych tajników życia, paraliżowanem nieufnością myśliciela do wyczuć i intuicyj.

A ta rozterka potęguje się w duszy twórczej do wróżdy potęg, do nieustannej walki światła z cieniem, miłości z prawdą, dnia z nocą, Ormuzda z Arymanem: do kosmicznych wprost mocy wszelkiej genezy! Lecz takim bywa pono zawsze pierwszy dzień tworzenia.

Są natury nadmiarem właśnie i bujnością idei tak fatalne, że dzień każdy jest dla nich tworzenia dniem pierwszym, że każdy ma coś z chaosu dnia pierwszego. Kilka stopni niżej, woli nieco mniej, a chaos ów tłumi moc twórczych owładnień, i zewnętrzna martwota jest wyrazem wewnętrznej bujności. O wiele stopni wyżej, woli o wiele więcej, a i w następne dnię przeniknie owa waśń wewnętrzna, to nieustanne ścieranie się potęg, przewyższające nieraz siły ludzkie, a wraz z niemi jakiś groźny okłęb, zachmurzający ów dzień siódmy, w którym twórca na dzieło swe spogląda, aby rzec: „dobre jest!“ To jasne południe dnia siódmego, wymarzone święto świąt, zamroczyła Nietzschemu ciężka chmura obłędnej melancholii (w której konało odporne ciało w przeciągu lat jeszcze dziewięciu).

Za myśliciela i człowieka doznał takiego południa — poeta, w cudownej jego wizyi — dla Zaratury.

Indywidualne w nim samym ustosunkowanie tych dwóch wrogich mocy, lub może brak trzeciej potęgi: harmonii (jak u Goethego), któraby nad tamtymi dwiema zapanować zdołała, — wykreślają tymczasem Nietzschego z rzędu tych, których pospolicie zwie świat wielkimi filozofami, a zarazem nie zmumifikowały go jeszcze w podręcznikach jako wielkiego poe­te.

Rozterka ta, wiodąc nieubłaganego analityka do nihilizmu zasady: „nic nie jest prawdziwem, wszystko jest dozwolonem,” — burzy moralis­cie z krwi aryańskiej i z tradycyi trzech pokoleń pastorskich wszystkie imperatywy, ratując go zasadą wychowawcy: „*pereat veritas, fiat vita!*“ Zaś tę koncepcyę wszechwładnego i tryumfującego życia wieńczy wróg metafizyki — metafizyczną ideą wrotu rzeczy wszelkich, a wróg poezyi — koronuje dzieło swego życia wspa­niałym poematem: „Zaratustra.“

Jeśli wolno zestawiać filozofa i poe­te koncypującego pewien ideał człowieka—z najwszechstron­niejszym geniu­szem, który przed wiekiem sam w sobie ten ideał ucieleśniał; wyzwalającego się z pod jarzma demokracji „dekadenta“ — z przespokojnym wytworem arystokratycznej kultury; jeśli wolno zestawić Nietzschego z Goethem, — uderza przedewszystkiem daleko mniejsza uniwersalność pierwszego. Wspomnijmy tylko brak zainteresowań i zmysłu do nauk przyrodniczych, oraz względną obojętność w stosunku do sztuk plastycznych. Obie dziedziny ogarniał geniusz Goethego całkowicie, obie wiodł na nowe tory, wyprzedzając rozwój pierwszej o pół wieku co najmniej.

W stosunku do życia: tu pustelnictwo ze wstępu do wszystkich współczesnych jego objawów, podkopujące wszystkie ostoje życia przeciętnego; tam tkwienie w po­rodku życiowej realności, bez istotnych zamierzeń burze-

nia jakichkolwiek ostoï, z duchem zawsze ponad życiową realnością, lecz z otwartymi zmysłami ku wszechstronnemu doznawaniu życia swą całkowitą pełnią człowieczą.

Epitet „spóźnionego romantyka,“ jakim obdarzano Nietzschego, jest nawet jako epitet całkowicie chybionym. Jeśli słowo „klasyczny“ nie ma być formułą z podręczników, patyną nudy nakładaną przez profesorów na pewne dzieła i postacie, jeśli ma ono pewną treść kulturalną i sens historyczny, — wówczas świadomie klasycyźniejszym (a te dwa pojęcia należą do siebie nieodłącznie) był Nietzsche. Był nim nietylko dla lepszej wiedzy dzisiejszej, która wykazała całą papierowość Winkelmannowskiego hellenizmu; nietylko dla zmysłu i geniuszu historycznego, będących zdobyczą niemiecką ostatniego wieku; lecz dla wrodzonych skłonności umysłu, który w okultyistycznych mrokach pracowni alchemicznej, w grozie nocny walpurgisowej, wśród spiętrzonych alegoryj i zawilej symboliki drugiej części Fausta, czuł się bądź co bądź obco, a natomiast u siebie — równie dobrze w świecie helleńskim, jak i wśród pisarzy francuzkich 17 i 18 wieku. Niedarmo zarzucał Nietzsche Goethemu i jego czasom, że, idąc coraz bardziej śladem urojonego hellenizmu Winkelmanna, odwracano się równocześnie od wzorów francuzkich, jak gdyby *najistotniejszych* rzeczy nie można się było równie tu jak i tam nauczyć. Klasycyźniejszym podobnie był Nietzsche i w swej prozie (z wyjątkiem Zaratustry i może pism z ostatnich dwóch lat).

Ogarniał też Nietzsche szerzej widnoregi dawnych czasów i kultur, kierowany przytem rzadkim zmysłem historycznym; jako mistrz duszy ludzkiej, patrzył bez wątpienia jednostronnie; jako psycholog wszakże i analityk docierał bezlitośnie do spodów i podspodów uczuć; jako poeta wreszcie, kto wie, czy w Emersonowskiej hierarchii

nie był mniej pisarzem, t. j., podlegał bardziej podszeptom niespodzianej intuicji, nakazom natchnienia.

Ostatnie słowa mogą wzbudzać nieufność. Lecz oto co pisze N. w autobiograficznych notatkach z roku 1888 o powstaniu Zarzadku:

— Czy ktokolwiek w końcu dziewiętnastego wieku może mieć dokładne pojęcie o tem, co poeci krzepkich czasów zwali natchnieniem? Jeśli nie, gotów jestem opisać je. Przy najmniejszej pozostałości przesądów w duszy, byłoby wprost nie do omińnięcia przypuszczenie, że jest się jedynie inkarnacją, głosem, medium nadprzyrodzonych potęg. Pojęcie objawienia, w tem znaczeniu, że nagle z niesłychaną pewnością i subtelnością staje się widocznem i słyszalnym coś, co człowieka do głębi wstrząsa i zmaga, — pojęcie to określa poprostu rzeczywistość. Słyszy się wówczas — nie szuka się bynajmniej; bierze się — nie pytając, z kąd i kto daje; jako błyskawica olśniewa każda myśl, niechybnie konieczna, w formie niepodlegającej najmniejszym wahaniom, — ja nigdy nie miałem wyboru... Wszystko dzieje się w wysokim stopniu niewolnie, jakby w nawałnicy poczucia swobody, niezależności, potęgi, boskości. Niewolność obrazu i porównania jest może rzeczą najbardziej zdumiewającą: nie ma się wówczas pojęcia, co to jest obraz, co porównanie, — wszystko jawi się jako rzecz najbliższa, najsluszniejsza, jako wyraz jedynie prawdziwy... Zachwycenie, którego niesłychane napięcie wyzwala się niejednokrotnie wytryskiem łez... Niesłuchanie czujna świadomość nieskończonej ilości subtelnych wstrząsów i dreszczy aż po palce stóp. Taka głębia szczęścia, iż rzeczy najboleśniej i najbardziej ponure odczuwa się nie jako przeciwieństwo, lecz jedynie jako rzecz zależną, wywołaną, jako niezbędną barwę w tym nadmiarze światła... Oto *moje* doznanie natchnienia; nie wątpię, że o lat tysiące cofnąć się trzeba, aby znaleźć kogoś, ktoby rzec mógł: „takiem jest też i moje!“ — —

Jakże odmienne odnosi się wrażenie z „Rozmów“ Eckermana, jakże inaczej brzmi np. wyznanie Goethego, że cudze myśli i pomysły nosił w sobie tak długo, póty przeinaczał je w sobie, póty dojrzywać im w sobie pozwalał, póki wszystko cudze nie opadło niby skorupa z wytworzonego tymczasem własnego ziarna.



Może te zestawienia zdołają podsunąć myśl o konieczności pewnych kontrastów, mających swe źródło nie tylko w charakterze umysłów, w randze dostojeństw duchowych i w kierunku dążeń?

Może te kontrasty mają swe potężniejsze i bardziej decydujące odpowiedniki w charakterze czasów i życia? Może między owym najbardziej dostalym owocem wielkiego drzewa jednolitej kultury, którego pień podcinano właśnie w owych czasach po tamtej stronie Renu,—a między tym wytworem kosmopolitycznej, przeciążonej historyzmem, demokratycznej kultury, takie różnice i kontrasty są konieczne, i w charakterze czasów i życia głębiej uzasadnione niżli w założeniach ducha? Może w obu najgłębsze sprężyny były jednakowe, — żądza pełni człowieczeństwa, żądza ujawnienia wszystkich bogactw natury ludzkiej, prężności wszystkich sił: ta zawsze jednakowa wola geniuszu?

Może między tamtem ostatniem dokonaniem a tą tęsknotą za ledwie toczy się rzeczywiście pierścień wrotu rzeczy wszelkich, a więc i wrotu człowieka pełnego, który ongi w życiu tkwił, nad nim wola i duchem panował, zwał się chociażby Goethem czy Napoleonem, a dziś w połowie tej drogi, w pustelni Sils Maria, o życiu marzyć tylko potrafi, zwąc *samego siebie* Zaratustrą i nadczłowiekiem?

Czerpiąc z jednolitej i zwartej kultury, otrzymał Goethe w darze i jej harmonię. Życie takich ludzi, wyniesione podówczas wysoko ponad tłumną przeciętność, wykluczało istotne starcia instynktów i upodobań, rzetelności czucia i myślenia z cieśnią i obłudą życia niższego. Te fale rozbijały się gdzieś pod nim: mógł na nie patrzeć spokojnemi oczyma epika. Granice własnemu życiu i doznaniu zakreślała wola i ciekawość intelektu. Drzewo jednolitej i wyłącznej kultury, nieprzeciążone historyzmem, nie-

poobwieszane sztucznie obcemi owocami, nieposzczepione w gałęzie wyrosłe na innych pniach, rzucało mu pod nogi nieomal ostatnie najbardziej dostate owoce zagadnień i odpowiedzi. Stał jak posąg na granicy wieków i kultur, posąg tak olbrzymi, że do dziś dnia najbardziej widoczny (z germańskiej przynajmniej perspektywy!), a swą zwartą potęgą tak pociągający, że nic dziwnego, iż w chaosie czasów dzisiejszych, po wszystkich ślepych i błędnych drogach, nawołują się tam wszyscy zbłąkani zgodnym hasłem: „Zurück zu Goethe!“ On zda się im najpewniejszą ostoją; od stóp tego posągu, sądzą, wiedzie najpewniejsza droga w przeszłość.

Taką modę na pisarza i poetę stworzyć może w dzisiejszych czasach z ręcznie w obieg puszczona doktryna literacka; rzetelną wszakże siłą przyciągającą poprzez wielki mieć będzie nie pisarz choćby najgłębszy, nie poeta bodajby najszczytniejszy, lecz ta siła, co ich obu stwarza: potęga wielkiej indywidualności, która i według Goethego jest najpiękniejszym z wymarzonych darów życia.

Jest ona czasu chaosu w wierzeniach, ideałach, probiezach i wartościach życia, najpewniejszym światłem, do którego garną się ludzie. Gdy się ta tęsknota zrodzi w sferze uczuć i potrzeby wiary, zwać się będzie Budda, Chrystusem, św. Franciszkiem... Gdy się w sferze intelektu i jego potrzeb pocnie, gdy się ocknie w dusznych komorach zubożalego życia, pośród skarłałych w automatyzmie dusz, — wówczas oglądać się będzie za wyobrazicielem największej bujności człowieczej, ujarzmiającym życie wolą i własnym celem: twórczo i płodnie, — za najbardziej szczodrem bogactwem ducha i życia, największą prężnością wszystkich sił drzemających w człowieku.

Gdy ta tęsknota, nie wyzbywszy się całkowicie pierwiastków wiary, zechce mieć koniecznie namacalne bozyszcze, domaca się wreszcie w przeszłości posągu, pod

którego stopy zechce cofnąć terażniejszość k' woli przy-  
szłości. Gdy się wyżej wzbije, w sfery ideału sięgnie, wy-  
tworzy może zlepek cnót rycerza i maga, twór bezciele-  
sny bez podstawy na ziemi, lecz jako tęsknota tembar-  
dziej fascynujący, wytworzy ideał mędrca, twórcy i bo-  
hatera zarazem. Tej tęsknoty ideał ochrzcił Nietzsche mia-  
nem nadczłowieka.

Słowo brzydkie! Dla polskich uszu jest ono zlepkiem sztucz-  
nym; dla niemieckich nawet ma coś z ociążałości i przypadkowości  
terminu. Dla czytelników gazet jest ono naprzykrzeniem: węzłem  
morskim, którego można znieść już chyba tylko w chwilach kani-  
kuły i to w bardzo nowej i bardzo zabawnej anegdocie. Nadaje się  
ku temu doskonale przystawka „nad.“ Reporterscy pajace poczęli ją  
też przyczepiać wszędzie, a przedewszystkiem jako hałaśliwy pęcherz  
do własnego ogona. Dzięki im słowo to poznali nawet wszyscy  
głusi,—co więcej: wie o niem coś nie coś i polska prowincya.

Dla wybrednych uszu jest w niem tyle dziś wyszargania, że  
można na nie reagować dreszczem obrzydzenia. Wszakże przeciw-  
ko tym zarazkom wstępu należy się dziś przedewszystkiem imunizo-  
wać. Gdy wszystkie imiona i symbole skaczą dziś, brzęczą i koła-  
czą w kupletach, należy umieć podnosić perły ze śmietnika, a książ-  
ki z nad rynsztoka, znajdując w nich nowe dla siebie piękno i no-  
wą dla siebie treść. Mamy wszak w Niemczech pensyonaty „pod  
Nirwaną,“ w Londynie szynki „pod Epikurem.“ Maluczko a ujrzy-  
my bardzo już podejrzone domy „pod Platonem,“ arcy efektowne  
tyngle „pod św. Antonim,“ wreszcie, jeśli marzyć wolno, redakcye  
dzienników (jako szczyt kompromisowości): pod - nad - człowiekiem.

Nomina sunt, dziś naprawdę, odiosissima.

Już oficjalny chrzest tego ideału, wiodącego nieświa-  
domy i bezimienny żywot we krwi wszystkich ludzi wiel-  
kiego czynu, w instynktach wszystkich wielkich poetów,  
świadczy, jak bardzo oddalił się on od instynktu w dale-  
kie sfery dyalektyki, jak bardzo świadomym, wyrozumo-  
wanym, intelektualnym stał się ten ideał — życia!

I tak oto w tem jednym słowie tkwić może klucz do bolesnych sprzeczności i skłócenia ducha. Życie, które odmładzać się może zawsze tylko u źródeł instynktu i woli, wobec tak uświadomionego, intelektualnego ideału stwierdza przedewszystkiem, że te źródła wysychać już poczynają. Ideał zwracający się wyłącznie do intelektu jest nieomal ostatniem słowem krytycyzmu i negacyi, pium desiderium intelektualizmu, który do naiwnych bodźców instynktu już nie powróci. Nadczłowiek za dużo wie i myśli o sobie jak na nadczłowieka, Zaratustra gotów się stać wiecznym zwiastunem samego siebie i tego proggu nadziei nigdy nie przekroczyć.

Uczniowie zaś Zaratustry, „zapisani od góry do dołu znakami przeszłości, z których wołają natrętnie wszystkie czasy i ludy, wszystkie obyczaje i wiary... są jak malowane obrazy wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzone.“ Jakżeby tacy ludzie wierzyć mogli? Wierzyć przede wszystkim w instynkt, w siebie? Jakżeby tacy ludzie mogli znieść określone horyzonty, które są nieodzowną koniecznością duchowej płodności? Napoły zmurszałe pnie, poszczepione w gałęzie najrozmaitszego pochodzenia, wydają owoce barwne, egzotyczne; lada podmuch wiatru wszakże strząsa je z gałęzi jako niewczesne, nieźrzałe, cierpkie i gorzkie owoce zawodu, rzuca je im pod nogi jako wyzywające pytajniki: „czemże ty jesteś? kim ty jesteś?“ Zachłanna pamięć i znużony duch ma jedną już tylko odpowiedź: „Wszystko już było!“

„Jest pewien stopień bezsenności i przeżuwania w historyzmie, przy którym wszystko żywe staje się coraz bardziej wątlę i zanika wreszcie: dotyczy to zarówno człowieka jak i narodu oraz całej jego kultury.“ — Tak bardzo uświadamiał sobie Nietzsche niebezpieczeństwo historyzmu w samym zaraniu twórczości.

Z drugiej wszakże strony, ułatwienie dostępu do na-

gromadzonych skarbów ludzkiego ducha, czerpanie z nich pełnemi dłońmi jest istotnym przywilejem współczesnego człowieka, jest więcej niż nałogiem zachłannej ciekawości, bo prawdziwym głodem dzisiejszego ducha, a w potrzebie ciąglej rozszerzalności swego ja, kto wie, czy nie największą jego rzetelnością. Ta potrzeba, przekraczająca nieraz fatalnie twórczą moc owładnień, jest wprost piętnem i znamiem wszystkiego, co dziś głębiej myśli i czuje.

Czy to jest dobrze czy źle, najłatwiej roztrzygną oczywiście ci, co najmniej myślą i czują. Faktem jest, że tak być musi! Drugim faktem jest to, że taki stan umysłów i dusz czyni częstokroć tylko widzom życia, widzom czujnym i subtelnym, naprzykrzającym się scenie życia ciągłemi pytaniami, — że stan ten zwęża zakres osobistego życia i doznania; instynktów i woli (impulsów nieświadomych, a więc i twórczych) nie wzbogaca. Owo παν — zda się być wrogiem Pana.

„Czem to tłómaczyć,“ pyta jeden z najsubtelniejszych pytających widzów dzisiejszego życia, — „czem to tłómaczyć, że właśnie ci ludzie o najbardziej rozwiniętej duchowości, którzy dziś jedynie na miano indywiduów zasługują, odczuwają swe istnienie jako niedolę, aczkolwiek, jako synom bogatej kultury, najszlachetniejsze owoce życia padają im bez mozołu w ramiona? Czemu nawet artyści i poeci, którzy przecież jako twórcy doznają najwyższej rozkoszy, stają się głosicielami tego złego poczucia się, jakie ogarnia rozkapryszonemu syna współczesnej kultury, ilekroć przypomni sobie uludne szczęście minionych czasów?.. Czemu nam wszystkim bez wyjątku ten nasz rozwój przynosi cierpienie? Czemu już tylko tak bardzo nieliczni zdołają wziąć na barki dziedzictwo przeszłości i nieść je ze szlachetną godnością, nie tracąc przytem nic ze swobody ruchów, siły męskiej i twórczego

rozmachu? Czemu *istotni* <sup>1)</sup> twórcy stają się coraz to rzadszymi, im bardziej błogosławieństwa i skarby przeszłości stają się dobrem najszerszych i najświeższych kół ludzkości, najróżnorodniejszych natur człowieczych? Czemu właśnie *głębsze* wejrzenie w warunki życia działa przygnębiająco, jest wprost temu życiu wrogiem? —

Czy właśnie wśród takich ludzi i w takiej atmosferze problem wartości dzisiejszej kultury i jej wskaźników na przyszłość nie musiał się narzucić z całą grozą? Czy właśnie takie czasy i ludzie nie będą szukały resztą instynktu oparcia o wielkie indywidualności, o geniuszów z czasów najbliższych? A gdy im pod stopy nie zechcą cofać czasu, czy nie stworzą same, poprostu napięciem swych duchowych potrzeb, ideału nadczłowieka, czekającego—już nawet nie na sformułowanie i imię (miał je nadczłowiek już dawniej!), lecz tylko na tchnienie weń życia i siły od geniusza?

Czy ta jego zawsze jednakowa, a dziś zewsząd tamowana wola wyżycia z siebie całkowitej pełni człowieczeństwa, najbardziej szczodrego ujawnienia wszystkich jej bogactw, prężności wszystkich sił człowieczych, nie musiała się przeistoczyć w tak napiętą atmosferze i wśród takich oczekiwań w wolę *twórczego wychowawcy*?..

A że ta wola zewsząd tamowaną była, wystarczy uprzytomnić sobie to tylko, że Nietzschego-Zaratustrę odepchnął od życia wstręt. Fale, co się rozbiły poniżej stóp Goethego, zalewały mu życie naokół. Zniknął nie-

<sup>1)</sup> Mowa tu o istotnej twórczości, wnikającej głębiej w życie i dusze, do właściwych ich sprężyn, do ideowych wartości tego życia. To, co się pospolicie „twórczością“ zowie, t. j., fachowe, czysto formalne kombinacje starych myśli, uczuć i doznań, nie ma nic wspólnego z omawianymi tu sprawami. Nie świadczy to również o większej krzepkości stosunków i dusz, chyba tylko o większej prymitywności jednych i drugich.

tylko „patos odległości“ między ubóstwem sił duchowych i życiowych a świadomą ich pełnią i żądzą ich ujawnienia; nastąpiła tyrania wszystkich wartości i mierników ideału i moralu tego ubóstwa. Czy pogodne, ciekawe wejście epika, to wejście, co barwi rzeczy i ludzi, nie musiało się tu przeistoczyć w złe oczy analityka, co barwne płaszcze i maski z ludzi i rzeczy zdziera? — Czy tu zatamowana wola geniuszu nie musiała się przeistoczyć w wolę *psychologa i burzyciela moralu*?..

I tak oto życia niedoznający pustelnik, w imię jego praw, walczy przecie na jakiejś wymarzonej, duchowej Cyterze swych „wysp szczęśliwości,“ a w samotnem sercu pielęgnuje ostatnią tęsknotę wszystkich głębszych natur, ostatnią i najkrwawszą uludę samotników: marzenie o przyjaciółach. Ci z życia bywają nieubłagani wobec samotników: jak owe złośliwe lisy w borsuczą jamę, będą znosili mu początkowo własne odbyty, a wykurzywszy go wstrętem z pracowitych jam kilku, poniechają go wreszcie. Ci z marzenia (bo przyjaciel samotnika ma dwa życia) nie stają się bynajmniej echem i wtórem jak u natur płytszych, lecz wróżdą, waśnią i kołcem. — „Jednego mam wokół siebie zawsze za wiele, myślał pustelnik. Zawsze tylko jeden raz jeden uczyni nareszcie dwa. Dla pustelnika przyjaciel jest zawsze trzecim: trzeci jest korkiem, niedopuszczającym, by rozmowa dwóch zapadła w głębie. Och, zbyt wiele głębin czeka na wszystkich pustelników. Dla tego też tęsknią do przyjaciela i do jego wyżyn“...

Dlatego też tęsknią nieraz do poniechanego życia i jego tanecznej lekkości. Osobliwie gdy światło na podwieczór złagodnieje i długie cienie gasnąć już poczynają. Wówczas ogarnia Zaratustrę taka żalność za poniechanymi barwami życia, że gdy błądzący samotnie natrafia w lesie na rozpląsany krąg dziewcząt, mędrzec piosnkę do tańca śpiewać im pragnie. Lecz, czy że niepoprawny Zataru-

stra tym stworom pustoty wiosennej omamy życia bu-  
rzyć zamierzał, tym tęczowym kaprysom chwili pieśń  
o człowieczej przyszłości do tańca nawet śpiewać pragnął,  
lub czy że zmierzch był już zapóźniony, — rozpierchły  
się dziewczęta: — w oczach nielitościwego analityka i za-  
myśleńca nad wiecznością gasną nieubłagalnie epickie bar-  
wy życia, milknie tego piękna „święty śmiech i drzenie.“

Zbliża się wieczór, chłód przejmujący zawiewa ze  
szczytów. Pierzchli przyjaciele, rozpierchły się taneczne  
kręgi życia, po raz wtóry zgasły jego barwy; pozostała już  
tylko natura w grozie milczenia i samotności... „Coś niezna-  
nego jest wokół mnie i spoziera w zadumie. Jakto? Więc ty  
żyjesz jeszcze, Zaratustro? Dlaczego?.. Po co?.. Dokąd?..  
Gdzie?.. Jak?.. Czy to nie szaleństwo żyć jeszcze?..“

Czy te podwójne pogrzeby życia: raz w wyrze-  
czeniu się, po raz wtóry w marzeniu, nie uczynią z naj-  
chłodniejszego nawet myśliciela — poety, poety dziwnego,  
w którego oczach gasną epickie barwy życia, rozwiewają  
się wszystkie jego ułudy, a żyje już tylko natura w gro-  
zie niemego pytajnika wieczności, oraz własna dusza na  
mroźnych wyżynach nadczłowieczych... „Och, lód na-  
okół mnie, dłoń moją lodowate parzą dotknięcia! Och,  
pragnienie mi dolega, a łaknie ono waszego pragnienia!—  
Nastała noc: och, że też światłem ja być muszę! I pra-  
gnieniem pragnień ponocnych! I samotnością!.. Nastała  
noc: zagadały głośniej wszystkie źródła bijące. I dusza  
moja jest źródłem bijącym. Nastała noc: ocknęły się  
wszystkie pieśni kochanków. I dusza moja jest pieśnią  
rozkochanego“...

Czy to zwaśnienie się najżywotniejszych mocy w czło-  
wieku aż do paradoksu życia, paradoksu marzenia, para-  
doksu mądrości, co ciemnym ich ponocnych pragnień za-  
zdrości, nie jest najboleśniejszą rozterką dzisiejszych głę-  
bszych dusz?



Czy tak zatamowana wola geniuszu nie musiała się przeistoczyć prężnością sił twórczych w wolę *poety nowego życia i twórcy nowych dla niego ideałów?!..*

I tutaj, tu wreszcie podają sobie dłoń wychowawca, psycholog i poeta. Czynią to dla pogromu wszystkich wrogich potęg dzisiejszej duszy, wszystkich upiorów rozterki, chwiejności i zwątpienia w nadmiarze, dla tryumfu woli nad bogactwem dzisiejszego ducha, które groziło, że stanie mu się klęską. A do zwycięstwa wie dzie ten, kto w sferze uczuć i woli przedewszystkiem zwycięża: wie dzie poeta... „Za długo tęskniłem i wyzierałem w dal, za długo władała mną samotność: i tak oto oduczyłem się milczenia. Ustami jam się stał wskroś, wzburzonym na graniach stałem się strumieniem... I niechże mi ten potok miłości na bezdroża nawet runie: jakżeby nie miał potok drogi ku morzu wreszcie odnaleźć!.. Nowemi drogi idę, nowa nawiedza mnie mowa; jako wszystkich twórców stare znużyły mnie języki. Zbyt wolno wlecze mi się wszelka mowa:—w twój wóz skaczę nawałnico! I ciebie jeszcze chłostać będę a naglić mą złośliwością! — Jako krzyk i zawołanie radosne popłynę po toni mórz dalekich, hen ku wyspom szczęśliwości, gdzie przyjaciół me bawią!.. — Zaprawdę jako burza nadciąga me szczęście i wolność moja! Niechże myślą wrogowie, że to zły szaleje nad ich głowami“...

I tak oto z pustelni samotnika, z jaskini anachorety rozległ się nowego piękna święty śmiech, nowej mądrości głos: wytrysnął porywający nurt życia, co, w obronie życiowych wartości, w imię ich najwyższych mocy, przemocy i prawa, żłobi sobie najgłębsze koryto w najtwardszych graniach wierzeń i przesądów, w opokach wiary w dobro, cnotę, altruizm, piękno i prawdę. Wszystkie na mieliznach osiadłe łodzie wyniesione zostają na te szerokie morza dowolności, które jedynie łodzi doświadczyć są

w stanie, aby tylko sterem woli i żaglem instynktu najdzielniejsze skierować do łądu człowieczej przyszłości; do tego łądu, w którego wstecznej, ku dziś zwróconej perspektywie dobrem i najlepszym jest bezwzględnie wszystko, co żywe, twórcze, siewne, a złem i najgorszym wszystko mdłe, krótkie, sobą zakończone, wszystko, co skarła, wyjaławia i tłumi siłą pospolitego ideału i jeszcze pospolitszego morału.

A zwie się ta książka: „*Tako rzecze Zaratustra.*“



nalogie historyczne dzisiejszej krytyki wytworzyły dziwaczne skróty przymiotnikowe, jak np. w dziedzinie sztuk plastycznych: „Giorgionesque,” „Leonardesque” i t. p. Co bynajmniej nie ma oznaczać prostego „jak Giorgione” etc., lecz mówi o istotnych, nieuchwytnych, słowami niedających się może określić właściwościach mistrza, przytrafiających się u innego bezwiednie

i niezależnie od wszelkich wpływów. Jest w tym przymiotniku coś jakby z absolutnych wartości życia ujawnionych w sztuce najwymowniej przez nazwanego mistrza. Nie są więc one zamknięte w granicach określonego czasu, nie są wyłącznym wyrazem jednej tylko dziedziny ducha.

Podobnie dzieć się zaczyna i w krytyce literackiej. Od czasu większej poczytności dzieł Nietzschego przeddźwięków „nietzschéanesque“ poszukuje się wszędzie. A że to słowo jeszcze się nie utarło, przymiotnik „nadczołowieczy“ oddaje tymczasowe usługi, przesuwając zresztą punkt ciężkości i zwiężając pojęcie, o które chodzi.

Szukano tych przeddźwięków przedewszystkiem w życiu: a więc w potężnym, ideowo jak puszcza groźnym życiu trzynastowiecza germańskiego, w prześwieتلonych czasach Odrodzenia łacińskiego, w najbujniejszym z nierządów siedmnastowiecza polskiego, w nagłym rozprzężeniu tłumionych sił w czasach bezpośrednio porewolucyjnych — w roku 1789, i znacznie mizerniej, choć dla naszych czasów bardzo charakterystycznie, po 1830.

Lecz już w późnem Odrodzeniu naga zuchwałość udzielnej jednostki zmuszona jest narzucać na siebie płaszcz dworskiej obłudy i, jakby w potrzebie zemsty za tę konieczność, zdobywa nową broń: przenikania cudzej, tej niższej, pospolitej, tej „arcyłudzkiej,“ która zmusza wprost wszystko samoistne do nakładania maski. A ten wzrok, z za wielkiej maski przenikający cudze, lichsze, jest nieubłagany: udzielność jednostki zatamowana w sferze życia mści się nielitościwie w sferze ducha. Tego poczęcia jest Macchiavel, potem w znacznie szlachetniejszym i głębszym typie Montaigne, wreszcie późniejszy i wykwinniejszy La Bruyère, ci pierwsi mistrze duszy nowożytnej.

A przeddźwięki te mówią nieco więcej niżli o tem, że czasu bujnego życia, pewnego rozluźnienia sprzęgów społecznych, tęższymi ludźmi kierowały moce, mające dużo wspólnego z głuchym fermentem duszy dzisiejszej. Ówczesna tężyzna człowiecza w swych spontanicznych rzutach ideowych trafia nieraz w samo sedno intelektualnych i papierowych koncepcyj dzisiejszego immoralizmu, jest

w przeszłości dalekiem sercem dzisiejszego mózgowego „indywidualisty.“

To zakreśla też granice tych analogij. One są — jeśli tego terminu użyć wolno — zbyt heterogeniczne, aby dalsze ich rozwijanie nie natrafiało na wielkie ryzyko zarówno historyczne jak i psychologiczne. „Nadczłowiek“ jest ideałem dzisiejszej kultury czasów i życia, on ma je w sobie (ma nawet i demokratyzm oraz dekadencję), lecz w ich ostatecznych konsekwencyach: w przewyciężeniu. On jest ideałem postępu, nie zaś uwstecznienia, nadto, jak się rzekło, wytworem przeintelektualizowanych dusz. Bujne, na pół dzikie, własną wolą jak fatum kierowane jednostki średniowiecza, Odrodzenia, czy też polskiej retorycznej italo-kozaczyzny z 17 wieku, stoją z nadczłowiekiem w wątpliwem pokrewieństwie. Wszakże ich czucia, pomyślenia i słowa niejedne są znamiennie „nietzscheanesques.“

O właściwych zwiastunach Zaratustry, może być mowa od przedświtu warunków dzisiejszego życia, formowania się dzisiejszej duszy, od prototypów i ujarzmieli dzisiejszego człowieka. Ci ujarzmiiele pewnych epok stworzeni przez ducha czasu na wzór i podobieństwo ich współczesników, stworzeni z gruba i ciosowo siłą tłumnych namiętności, stają się z kreatur bogami swych twórców, modelując ich indywidualne dusze na wzór i podobieństwo własnej. W tych soczewkach skupiają się wszystkie rozpierchłe moce duszy czasu, rozniecając się do płomiennej potęgi. Nie odbiciem, głosem i narzędziem czasów jest człowiek wielki, lecz, mocą pewnego pokrewieństwa woli z tłumnymi podówczas namiętnościami, szczęśliwie nad poziom wyniesioną soczewką, kondensatorem duchowej energii czasu, używającym jej dla własnych swych celów.

I chociażby ten jego cel dla ludzi nienawistnym się stał, chociażby z czasem zgoła zapomnianym został, soczewka woli, mimo wszystko, póty fascynować ludzi bę-

dzie, póki w jej ognisku nie będą oni dostrzegali rozpieczonych i skarlałych mocy własnej duszy, tam oto skupionych do światoburczej wprost potęgi. To zaś godzi z życiem, godzi z człowiekiem i sobą samymi, darzy zaufaniem w swe siły, na najniższych szczeblach życia, w najbardziej własnych granicach ujawnienia swej woli.

I tuż na samej rubieży nowych czasów, tuż u źródeł współczesnej duszy, stoją dwa posągi, których bez pewnych myśli i uczuć minąć niepodobna, jak niepodobna przejść bez podobnych uczuć i myśli przez Forum Romanum. To tchnienie potęgi z dusz najbardziej współczesnych upaja ludzi dzisiejszych do snów o niej wśród ruin i gruzów rzeczywistości.

Wokół Napoleona i Goethego krystalizowała się koncepcja nadczłowieka.

A gdy ocknięty ze snów swoich marzyciel, z rozdręganymi wszystkimi strunami woli, zwróci się do rzeczywistości z postanowieniem twardego jej opanowania, bez dobrowolnych lub na pół świadomych ułud i czułości, i gdy ta rzeczywistość spojrzy na niego tysiącem masek rzeczy i ludzi, wówczas — (koniecznymi byłyby tu omówienia analogiczne do uczynionych poprzednio przy Macchiavelu, Montaigne'u etc.) — natrafia na tejsze rubieży wieków na Stendhala, którego zapoznani, a dziś na nowo odkryci bohaterowie okazali się pod wieloma względami esencją dusz dzisiejszych, z tym dominującym w woli pierwiastkiem opanowania najbliższej rzeczywistości, zdzierania masek z rzeczy i ludzi i zwalczania ich maską własną, lecz lepszą.

I tak oto błądzący wśród posągów marzyciel nie czuje się bynajmniej na cmentarzu, lecz przeciwnie wśród najszczęśliwszych ujawnień życia, w promieniowaniu najcenniejszych właściwości dzisiejszego indywiduum; czuje się pośród prototypów, mających w nieujawnianych głębiach historii swe duchowe odpowiedniki i, aż po naj-

większe niż życie, na największych jego szerokościach, całkowitą hierarchię dusz: na wschód — aż po katorgi syberyjskie, na zachód — aż po galery Kajenny.

A że każda dusza ma w sobie to ślepe parcie do ujawniania najgłębszych, najbardziej nieświadomych swych podkładów, do prężności najbardziej nawet skarłałych w niej mocy, tedy tętno nadczołowiecze pulsować może w najnikczemniejszych nawet skroniach.

Syntetycznych wyrazów tej tęsknoty (aby od nich zacząć) w wieku ubiegłym nie brak. Przypomnijmy tylko: Carlyle'owskich „bohaterów,” Emersonowskich „reprezentantów,” Stirnera „jedynego“ i Renana „devasów.“ Dla nich wszystkich celem i dążeniem kultury była nie oświata wielkich mas, lecz najcelniejsze, najrzadsze okazy człowieczeństwa: ludzie wielcy <sup>1)</sup>).

Żywni, intensywniejsi i bardziej bezpośrednio do ducha przemawiający są ci inni, gatunkowem imieniem nienazwani, a żyjący jak prawdziwe indywidua własnem tylko życiem: immoralni jak żywioł, potężni jak wizya wielkich poetów. A więc: chociażby niektóre typy Słowackiego, niektóre Shelleya, wreszcie, egzotyczniejsi, bardziej kostyumowi i szumni, lecz mniej głębcy, mający natomiast liczne literackie potomstwo, ludzie Byrona <sup>2)</sup>).

<sup>1)</sup> Wyjąwszy może Maxa Stirnera. W swej monotonnej i marnudnej dyalektyce wywalcza on prawa udzielne dla każdej jednostki; wszakże tak olbrzymio rozrosło jego „ja“ jest zawsze udziałem nielicznych. Renanowscy *d e v a s o w i e* mają nawet swą zwartą definicyę: ludzi o szlachetniejszej krwi, tęższym mózgu i mięśniach, ludzi mających prawo i obowiązek panowania nad innymi.

<sup>2)</sup> Przypadkowe zbieżności kilku przypowieści Zaratusztry z niektórymi aforyzmami Hoelderlina, Schlegla i Nowalisa mówią znacznie mniej i są raczej przypadkowym zaawanturowaniem się tamtych romantyków po za rubieżę zła i dobra, a u Nowalisa bud-dyjskim raczej indyferentyzmem wobec zła i dobra niżli świadomym immoralizmem.

Silniej ujarzmiają też naszą wyobraźnię (i przez to znowuż [siewniej działają] ci najgłębiej zaprzepaszczeni z hierarchii Napoleonów, Goethych, ludzi Stendhałowskich i innych: te z głębin życia twórczo dobyte jednostki, ztamtąd, gdzie wszelkie więzy i sprzęgi społeczne, wszelkie zmudy, nudy, fałsze i jałowizny towarzyskie są zbyt jeszcze luźne, lub zgoła nieobecne, aby zdołały wypłenić całkowicie życie jednostkowe. Pod wielką tłocznią społeczną, na samem jej dnie, pośród mętów i zbrodni, jest, zda się, jeszcze najwięcej powietrza dla jednostki. W tej atmosferze żyje najbujniejsze człowieczeństwo, nietylko Rosyi, jak myślał Dostojewski. Do tego powietrza rwali się instynktownie, choć sporadycznie, nietylko Verlaine i Rimbaud. W te światy zanurza się dziś Gorkij, w najdoskońalszym rynsztunku literackiego nurka, docierając zresztą tylko „do dna“ życiowej rzeczywistości.

Wszakże ta atmosfera, w której obracać się może swobodnie tylko istotna prymitywność, staje się otchłanią dla ludzi piętnowanych nadmiarem wyobraźni, — taką jej bujnością, że gdy się ona na jednym celu pożądań skupi, tam, w pierwszym zetknięciu z przegrodą społeczną, drzemie możliwość zbrodni. Wystarczy zaś, aby w tych potworach dna wyobraźnia zwróciła się w kierunku takiej możliwości w instynktach, — wówczas prędzej czy później spadnie z duszy czyn, jak spada z drzewa owoc dojrzały. Lecz wtedy swą ciasną i duszną ograniczonością postępu tak się skłóci z wyobraźnią, taką chmurą na myślach zacięży, że na tej „pierwotnej“ glebie, w którą kapryśne wiatry zachodu przesiały gorzkie ziarno analizy, rozrasta się ono w dotychczas niesłyszaną dyalektykę duszy. Niech czująca dłoń na takim czole spocznie, a wyczuje, że w tych skroniach bije wprost młotem tętno „nadcłowiecze.“

To ciemne życie przeżył wewnątrz Dostojewski



aż do dna wszystkich ohyd i zbrodni, a wraz z nimi aż do oślepiających wprost błysków w duszę współczesną.

Ten pisarz, Nietzschemu tak biegunowo przeciwny, ten quasi „mistrz moralności niewolników,“ ten epileptyk nadczyły i nadświadomy, słyszący poprzez siedm murów bicie serca ludzkiego; tak perwersyjnie tkliwy w stosunku do wszystkiego, co shańbione, zdeptane, oplwane; taki niezmordowany w analizie całego piekła tłumionej w tych duszach nienawiści; tak niestrudzony i uparty w uszlachetnianiu jej wszystkimi ideałami chrześcijaństwa (temi ideałami, których istotną nieraz nieszlachetność, mściwość w pomyśleniu, „ressentiment,“ tak genialnie przejrzał Nietzsche); ten quasi „prorok niewolników“ — był zbyt wielkim artystą, aby swych quasi wrogów i całej „moralności panów“ nie przedstawić w ich właściwej fascynującej potędze. A że był przytem bardziej dyalektykiem niż plastykiem, więc też ideał „nadczołowieka“ ma tu nieraz sformułowanie tak jędrne, zwarte i do dna przemyślane, że nie powstydziliby się go i Zaratustra <sup>1)</sup>).

Miał więc zwiastun Zaratustra przedzwiastunów swych w historyi. Miał ideał nadczołowieka swe możliwe w niej ucieleśnienia, oraz podatną magmę dusz współczesnych, w której krystalizował się powoli jako koncepcya; miał nawet heroldów z głębin potępionego życia.

Przykładów możnaby tu namnożyć. Wszakże po co? Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, wiemy, że każda wielka fala musi mieć swe ośm poprzedniczek. A jeśli się o nich napomyka, to jedynie dla wskazania na dziejową ostatniej konieczność.

<sup>1)</sup> W takich opowieściach, jak o Chrystusie i inkwizytorze, w niektórych dyalogach Raskolnikowa, a zwłaszcza Iwana Karamazowa. Tak ulubione przeciwstawienie Nietzschego: nächsten - fernsten: — nie bliźni i najbliżsi, lecz najdalsi — pochodzi od Dostojewskiego.

Bardziej jeszcze znamienne od tych poprzedniczek wielkiej fali są owe drobne złączenia i dreszcze, poczynające się z nią równocześnie: od najbardziej na wszystkie szerokie siewy otwartego łądu Francyi, aż po najcichsze fiordy norweskie.

Aby nie przytaczać tu jednym tchem nazwisk, mówiących w długich listach zawsze bardzo mało i rozbieżnych zresztą pod każdym innym względem, wystarczy przypomnieć pamięci każdego, zachowującego jaką taką styczeńność ze współczesnym ruchem literackim, że ze wszystkich wybitniejszych utworów dzisiejszych bezpośrednio lub ubocznie wyziera zagadnienie dobra i zła, z każdej niemal ich stronicy zaczyna przebijać niechęć, jeśli nie świadoma odraza, do sądów t. z. moralnych, pozorujących tylko istotną wartość czynów ludzkich, rzetelność uczuć i prawdziwość wewnętrznych mocyj. Wszystkie te normy, jakie wytworzyło gromadne życie w stosunkach bądź społecznych, bądź towarzyskich, bądź rodzinnych, bądź miłosnych, wszystkie te normy skrzeplę w obyczaj, uświęcone „ideałem,” zagadywane na śmierć ustawiczną obłudą sądów moralnych, stanowią niezmienną nieomal ramę dzisiejszej komedyi uczuć: są bagnem, siecią lub murem dla każdego samoistnego objawu życia.

A gdy w artystycznym zwierciadle ujrzy cichy filiśterek taką komedję, nietylko schlebia swej uprzedniej przenikliwości (któż bo lepiej od niego zna istotną wartość uczuć w stosunku np. do pieniądza), lecz oddaje się nieszkodliwym uczuciom mściwego zadowolenia, widząc w obłudniku niechybnie sąsiada swego, a nigdy samego siebie.

Gdzie zaś szersze życie mimo wszystko ujawnić się zdoła, bodajby tylko w użyciu, gdzie zatętni południowym żarem temperamentu, a wraz z nim nasyci świat barwami i słońcem południa, gdzie, rozpętawszy wszystkie

namiętności, zbudzi upiory tragedyi indywidualnej, — tam ów filister, zdolny jedynie do moralnej komedyi i sporadycznych reakcyj płaskiego cynizmu, nietylko schlebia swym chuciom, lecz upaja się tym razem szczerem, tęgiem winem życia.

Mówimy: filister, gdyż najznamienniejszą cechą stosunku dzisiejszej społeczności do tych utworów, podkopujących wszystkie t. z. moralne ostoje życia, jest fakt, że i ona już się niemi rzetelnie nie gorszy.

Oglądamy na deskach teatralnych lub na stronicach książek codziennie nieomal najjaskrawsze obrazy gnuśnej obłudy rodzinnej, towarzyskiej i społecznej: tej pełnej cichych ofiar *bellum omnium contra omnes*, gdzie zbite w kupę czułościowe egoizmy nękają się naprzemian litością i wzbudzaniem współczucia, ofiarą i jej wymaganiem, przywiązaniem i pętaniem, zwięzając ludzką wolę do granic obowiązku, wtłaczając wzajemnie swe czucia i doznania w cieśnię obyczaju, zwyczaju i nawyku. W takiej to atmosferze sądy moralne rozlegają się najgłośniejszy, niby głuche dzwony pogrzebne. — Oglądamy te katakumby w ponurem oświetleniu jedyne go nieraz płomyka życia, jakiejś żywej lampy, gorejącej nadomiar przed ołtarzem — jawnego grzechu. Wpadamy w złośliwą zasadzkę artysty, który całe nasze instynktowe ukochanie życia, a więc wszystkie nasze współczucia, wszystkie tętna naszej wyobraźni przynęca na stronę tak oto przedstawionego grzechu, aby w jego fascynującym świetle okazać całą nędzę obyczajowego i cnotliwego automatyzmu, całą żalospną chudziźnę sądów moralnych.

I wewnątrz — szczerze a rzetelnie — nikt się tem dziś nie gorszy (choć niejedyn czyni to głośno z powinności lub z ubocznych powodów doktryny literackiej): — z pod skrupy sądów moralnych przebija w ludziach anarchiczna wprost potęga — współczucie bujnemu życiu.

Czytamy oto lub oglądamy nieomal codziennie... Lecz czy nie lepiej zaniechać tu przykładów, by nie zwęźać konkretnymi obrazami sugestyjnego odczucia tego stanu dusz, nie upraszczać w myślach tak przebogatej, przedziwnie zawilej linii oceanicznych brzegów życia wśród miliona najcichszych jego zatok. Wszędzie, gdzie tylko z szerokiego morza dowolności dochodzą bodajby najslabsze wiewy, wszędzie chwiać się poczynają wszystkie normy i mierniki moralne w stosunkach społecznych, towarzyskich, rodzinnych, miłosnych, przyjacielskich i t. p.

Przegryza je rdza analizy, a tak nadwątlonemi wstrząsa każde intensywniejsze życie. Z pod rozdartej osłony sądów moralnych wyziera szpetna nagość komedyi uczuć współczesnych: komedyi miłości, farsy przyjaźni, żalosego dramidła uczuć rodzinnych, płaskiej i zimnej feeryi uczuć towarzyskich i wyrafinowanej a krwawej już tragedyi moralności społecznej.

Za sprawą naszego stosunku do wszystkich wybitniejszych artystycznych utworów ostatniej doby, to współczucie dla bujnego życia przebija poprzez skorupę moralną coraz to częściej, coraz to naglej i jawniej, — coraz to anarchiczniej! Wszystkie mury, odgraniczające każde samoistne ujawnienie życia, drzeć poczynają u podstaw. Przez ziemię przechodzi dreszcz, dreszcz życia, jeśli kto chce: idzie Pan! <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Oczywiście z wszelkiem użyciem i nadużyciem ma to wszystko minimalny i zaledwie uboczny stosunek, a czego już podkreślać chyba nie trzeba, — Pan nie jest niewolnikiem Erosa. Co dla jednych bywa tylko nawiasem, dla drugich jest treścią życia, co dla bujnych jest nadmiarem i wytryskiem sił, nieraz nawet nowych sił źródłem, dla wątłych i zdegenerowanych jest tylko gnuśnem bałagulstwem i zamrą ducha. I ta moralność jest względna.

Zaś najmniej ma to wszystko wspólnego ze stałą i ciągłą febrą użycia, która jest jedną z naznamienniejszych cech zastoju i marazmu. Sapienti sat.

I wtedy, wtedy dopiero uderza fala dziewiąta...

Stosunek ludzi do niej świadczy wymownie, jak to świat okrzykiem zgrozy wita rzeczy w zasadzie nienowe, lecz przerażające właściwie tem tylko, co geniusz w nie wnosi: całkowitem i pełnem życiem, przemyśleniem rzeczy do dna, wyciągnięciem ostatnich konsekwencji. Wprzód pozostało zawsze „a jednak,“ „wszakże,“ „mimo wszystko“ — tę nową dziurę w myślach i czuciu można było załatać byle czem, bodajby zapomnieniem. Z chwilą wszakże, gdy zostaje wytracona z rąk ostatnia broń wszystkich ostoj moralnych: obosieczny miecz ideałów chrześcijaństwa, ta ultima ratio wszelkiej gnuśności myślowej; gdy najszlachetniej nawet pomyślaną ich koncepcję burzy Antychryst, — nie ten z kłątwy i legendy, lecz z własnego mianowania i mądrości: świadomy wróg Chrystusa w obronie życia, — wówczas z wrogą ideą każdy na swój sposób załatwić się musi.

Ta wielka fala kulturalna niesie ze sobą pytańki, których każdy, jako tako duchowo egzystujący człowiek ominąć dziś nie zdoła:

„Czy wszelkie przepisy postępowania nie odnoszą się jedynie do strony zewnętrznej, dającej tylko ułudę równości, czy każdy czyn nie jest czemś odmiennem mimo tych pozorów równości, czemś, w istocie swej, niezglębionem i niepoznawalnem?“

„Czy słuchasz rozkazów swego sumienia, jak żołnierz dowódcy, kobieta—kochanka, czy jako pochlebca lub tchórz, czy też jako głupiec uległy, bo nic odpowiedzieć nie umiejący?“ —

Czy rzeczywiście współczucie, litość i altruizm służyły dotychczas życiu najlepiej? były najhojniejszym posiewem przyszłości? Czy nie wprost przeciwnie: czy nie czynił i nie czyni tego właśnie egoizm?

A gdy takie pytania i wątpliwości poczną komuś kruszyć w dłoniach wszystkie dotychczasowe bronie w życiu, gdy zbłąkanemu na życiowych ścieżkach zastępuje drogę niby upiór trzynastowiecznego raubrittera z napisem na przyłbicy: „Nieprzyjaciół miłosierdzia, Chrystusa wróg!“—wówczas, zdawałoby się, należy sięgać na dno serca i ducha po miecze wprost płomienne.

Stosy kacerskie nie były bynajmniej najstraszniejszą bronią ludzkości w walce z ideą. Na nich ginął tylko człowiek, idea wtedy dopiero, gdy swego posłannictwa zaczynu i fermentu życia dokonała. Dzisiejsza ciekawość literacka, potrafi największą falę dziejową zamienić w bańkę literacką.

I gdyby się tu w przyszłości zjawił nawet jaki Tomasz z Akwinu, przyjdzie on za późno, przedewszystkiem dla tych, co ongi okrzyki zgrozy podnosili, a dziś albo zgoła już zobojętnieli, albo (chcąc być bardziej „współczesnymi“) zużyli już całkowitą energię duchową na to, aby się do dawnej wrogości przystosować kompromisowo.

W tym zabawnym kłopotcie spóźnionego najczęściej kompromisu, znajdują się nasze „sfery inteligentne“ mniej więcej zawsze. Wyciągając jedynie możebny wniosek w swej sytuacji, dojsć one muszą koniec końców do przekonania, że zółw jest stworzeniem najrozważniejszym: bo skoro linia postępu duchowego jest falistą, zółw przepelnawszy po przekątnej, gotów każdej chwili zwyciężyć Achillesa. (Słownie brzmi to zwykle inaczej: „sędziwy kościół koniec końców zawsze zwycięży“).

To też z chyżością i wrażliwością zółwi reagują dziś na prądy duchowe, nie podejrzewając, zda się, nawet, że te prądy to nie są bynajmniej podniebne wiewy, któremi zajmować się mogą tylko próżne umysły, że mogą one wywiać wszelką treść z życia — z jego przykazań, norm, obowiązków i stosunków, z ludzi i rzeczy, pozostawiając

tylko zewnętrzną armaturę pozoru i fałszu, że one to stanowią właśnie tę nieuchwytność, na którą wszystko spędzać lubimy, stanowią „ducha czasu.“

A znaczą te skargi: tam, gdzie o tej nieuchwytności ideowego fatum, może być wogóle mowa, t. j., wyłącznie tylko pośród na pół uświadomionych, lub zgoła bezkrytycznych,—wśród ideowo bezbronnych czyni „duch czasu,“ niby kiła wśród ras pierwotnych, największe spustoszenia, wyjaławiając każdą glebę gnuśnym sceptycyzmem. Tak bardzo mści się lekceważenie idei, tak wielkiem jest niebezpieczeństwo wszystkich na pół cywilizowanych warstw i społeczeństw, żyjących tylko gazeciarską plewą, felietonowym okwiatem i krytycznym, martwym preparatem żywych i siewnych ziaren idei.

Wszystko, co się mówi i pisze o niebezpieczeństwie pewnych haseł, doktryn czy idei, ma swe jedyne uzasadnienie w tem stopieniu głębszej wrażliwości intelektualnej, w nieustannem prześciganiu się ciekawości ze znużeniem i, co za tem idzie, w całkowitym zaniku intelektualnego sumienia.

A wszak mamy i bez tego „wszyscy bez wyjątku, wbrew wiedzy i woli, wartości, słowa, formuły i moralności biegunowo przeciwnego pochodzenia, mamy je w ciele nieomal: jesteśmy, fizyologicznie rzecz biorąc, fałszywi... Człowiek współczesny przedstawia biologicznie sprzeczność wartości... Siedząc na dwóch stołkach wygłasza „tak“ i „nie“ jednym tchem... Ta niewinność w kłamstwie jest cechą społeczną par excellence, nią można wprost definiować społeczeństwo...“ (Są to słowa Nietzschego skierowane po części pod adresem twórcy Parsifala).

I powiedzmy dla przykładu tylko: gdyby ów sędziwy kościół kiedyś zwyciężyć nawet miał, to zanim zwyciężyć zdoła, rdza jałowego sceptycyzmu przetrawi wszystkie formy życia. Co więcej! jałowa ciekawość tak prze-

pali wrażliwość dusz, że to jego problematyczne zwycięstwo będzie jednym z upragnionych „tak!” dla ciekawości, wobec wielu równorzędnych apatycznych „nie“ wczorajszego entuzjazmu.

W mieście, naprzykład, które dla swej pstrokacizny i jurności również „Pstrą Krową“ mianowaćby się mogło, gromadzi „biologicznie fałszywy“ twórca Parsifala wokół Czary Grała ciekawe hordy ludzkie, nie mogące mieć nic wspólnego ani z jej symbolem wiary, ani też z jej symbolem ideału, a najmniej chyba z rycerską w służbie ideału tego „wiernością samemu sobie.“ Świadczy o tem, prócz nosów węszących równie chciwie sensację jak zyski, zasadnicza nierzetelność wrażeń i uczuć, przebijająca jaskrawie z każdego gestu. Ci ludzie, z uchem, gębą i podbrzuszem zamiast duszy, swą liczebnością i życiowymi wpływy zaważają z czasem i na duchowym życiu społeczeństwa, a raczej poczną mu z czasem odbierać wszelką ważkość.

Z czary Grała ulotni się najistotniejsza jej treść, wyczuwalna tylko w chwilach prawdziwego „podniesienia“: potęgą zniewalającego dusze symbolu. Kryształna czara ideału, sztuka „czysta“ stać się może wtedy rzeczywiście pustą. Tem natrętniej wołać będą nowi jej wielbiciele, aby się wypełniała winem t. z. przez nich żyć i a, jako upojną podniętą do użycia.

Życie pocznie się w ten sposób konsekwentnie wyzbywać nietylko przewodnictwa idei, ale wprost kierunku. Silniejsze nawet jednostki przestaną się zaawanturowywać w dziedzinę własnego prawodawstwa i własnej moralności, przekonawszy się, że te wymagają tak wytrwałej i zawsze napiętej woli, że przy pierwszym jej zachwianiu życie staje się cięższem do zniesienia od najbardziej uległego poddaństwa. Ostrożność i praktyczna przebiegłość nauczy ich, że określony cel jest zbędny, że bynajmniej nie trzeba przewidywać, by mózdz żyć, żyć szczęśliwie! Egzystencja, tem zbrataniem jałowego sceptycyzmu z praktycznem wyrachowaniem tak bezdennie nikczem-



na, oprze się całym ciężarem na bezwładzie i nawyku, pozostawiając przykazania i normy, z których czasy wszelką treść już wywiały, jako umówione pozory, jako przydatne słupy graniczne dla ostrożnych ujawnień życia.

Zaś to życie, pozbawione wszelkich „wartości,” nie jest bynajmniej zmorą przyszłości, ta chmura już dziś zawisła nad człowiekiem.

A zwie się ona: nihilizmem współczesnym.

Takim też będzie (takim jest już!) człowiek ostatni, o którym kazał Zaratustra na rynku, — „człowiek, co niezdolny będzie wyrzucić strzały tęsknoty ponad człowieka, gdyż zwietczeje cięciwa jego łuku... po tysiąc-kroć wzgardy godny człowiek, co nawet samym sobą gardzić już nie zdoła... Czem jest miłość? Czem twórczość? Czem tęsknota? Czem gwiazda? — tak pyta ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy.“ —

„Każda dusza musi czemkolwiek być poruszana, — powiada gdzieś Mickiewicz, — jeśli nią nie ruszają rzeczy wielkie, to się będzie ruszać w niskości i podłości.“



aj nam, Zaratustro, ostatniego człowieka, uczyni z nas ostatnich ludzi, a darujemy ci twego nadczłowieka“ — odpowiedział lud na rynku na pierwszą mowę Zaratustry. W lat kilkanaście po śmierci Nietzschego czynią to niektórzy krytycy jawnie i świadomie, większość zaś czytelników w milczeniu i bezwiednie: wszyscy oni akceptują krytykę współczesności

w dziełach Nietzschego, odrzucając ideał nadczłowieka.

Analiza wartości dzisiejszego życia bez nowego dlań ideału i nowej nadziei byłaby nie „odwróceniem“ tychże wartości, lecz ich nihilowaniem, poczynalaby się nie z „woli mocy“ lecz z „woli nicości:“ Zaratustra wiódłby najprostszą drogą do ostatniego człowieka.

Co też niejednokrotnie czyni!.. Najchętniejszym posłuchem darzą Nietzschego te mdłe dusze, dla których

najroskoszniejszą strawą jest zawsze negacya wszelkich wartości, zkażdokolwiekby ona pochodziła i do jakichkolwiek wiodłaby celów. One bo do żadnego celu dowieść się nie dadzą: dla nich ideał będzie zawsze czemś sztucznem, wobec ich jałowego sceptycyzmu na długo ostać się nie mogącym. Samo uświadomienie w sobie nihilizmu nie jest bynajmniej jego przewyciężeniem,—pisał Nietzsche—przeciwnie ono pogrąża weń stokroć głębiej. Tak więc na wspak celom, zamierzeniom i logice własnej twórczości stać się mogą pisma Nietzschego wprost biblią tego nihilizmu, który był dlań największą grozą przyszłości.

Nic tak nie syci jałowego sceptycyzmu, jak życiowe karykatury każdego ideału. Nic tak bardzo nie było na rękę takim czytelnikom Nietzschego, jak te lekkie duszyczki wraz gotowych nadludzi.

Co się tyczy tych ostatnich, wylano na nich z gazet tyle zółci, a przedewszystkim tyle wody, że owi pierwsi młodzieńczy prozelici, zda się, już w niej potonęli. Ci nadludzie z farsy i sentencyjnego felietonowego morału wywołani zostali domowem, zda się, nieporozumieniem między rozmaszystością młodej naiwności, a niedołążnym lamentem starej.

Mimo całej groteskowości tej niedawnej jeszcze maskarady nadludzi, mimo, że trzy czwarte z tych masek zasługuje tylko na wrzucenie ramion, część pewna mimo wszystko zastanowić musi. Wszak to wrażliwość na sprawy duchowe objawia się w sposób tak dziwaczny? wrażliwość bądź co bądź zawsze cenna, a tembardziej u nas i dzisiaj! — wrażliwość wreszcie, którą zawsze łatwiej wykoszlawić tłumieniem, niżli nią pokierować. Ujawnia się ona przytem w wieku, w którym duchowe pobudki przenoszą się z całą bezpośredniością do najbliższej namacalnej realności. W pewnym wieku przenosić się one tam będą zawsze; tem pewniej, im rzetelniejszy jest ten proces wewnętrzny.

Wszak to u dziewcząt tylko, pod maską chichotu, grymasów, śmiechu i pozorów, pod całą słoneczną wibracją wiosennego życia, dojrzewa, niewiadomo gdzie, czem i jak, nieraz całkowita i zwarta dusza kobiety. U młodzieńców odbywa się i to wewnętrzne nawet dojrzewanie żmudniej, boleśniej, dla oka zawsze niemilej, dla otoczenia nieznośniej i najczęściej pod patetyczną maską: kołujeż bo się w nich więcej duchowej energii. W tym ponurym otroku, w tym rozwichrzeńcu z nadmiaru i bujności wewnętrznego życia, dojrzewa nieraz żywa dusza dzielnego człowieka.

I czemże są wobec tego dawne jego maski i koturny, czem wszystkie gorączki polityczne, febry ideowe, erupcye nadczłowiecze, jeśli nie dyagnostyczną wprost cechą energii duchowej? czem, jeśli nie reakcją tłumionego życia?

Gdzie bujny temperament z bystrym duchem kojarzą się siłą młodości, tam nawet nikczemność bardzo zdolnego człowieka ma coś z hazardu, karkołomnego rzutu i niespodzianki: i w tem jest zadatek własnej woli. Taki nie potrafi się nigdy ukryć całkowicie za ideową tarczą, uczynią to raczej bardziej limfatyczne, kunktatorskie i mniej zdolne głowy, typu *Disciple'a*. Tamten, wyzywający swym postępkami wszystkich, obnaża zwykle nieopatrznie najboleśniej swe miejsce: jego łatwo z nóg zwalić. Typ *Disciple'a* przylega do swej namiętności płasko i przyziemnie i potrafi zawsze jeszcze w porę cofnąć się do swojej skorupy, — ów nie ma nigdy tak długich, a zwłaszcza tak pilnych i metodycznych namiętności. Ten jest właśnie „ucznem,” zapożyczającym inteligencji od mistrza, a ideowej broni z książek; wszystko, czego się dotknie, a więc i własną namiętność zaczyna wnet traktować fachowo i metodycznie; jest wreszcie schematem schematycznej psychologii Bourgetowskiej. — Tamten jest nawskroś moszczem i fermentem idei, dojrzewa nią wewnątrz i kompromituje ją nazewnątrz w postępkach; a co ważniejsza, i te postęпки stają się dlań fermentem całkowicie bezinteresownej pracy ducha w głębokiej i serdecznej jego ekspiacy. Truposzek bourgetowski zdolny jest jedynie do pokuty, i to wówczas dopiero, gdy ma nóż na gardle; lecz i tę pokutę nawet sprawuje pilny uczeń metodycznie, zimno i w istocie swej nietwórczo, jak Bourget swe powieściopisarskie rzemiosło salonowego psychologa. — W postępkach tamtego, przy całym ich życiowym niesmaku, jest zawsze własna linia, jakaś niespodziana arabeska, nawet pytajnik danego postęпку staje tu na głowie: ci ludzie niepokoją bardziej cudzą myśl, niżli cudze sumienia. To też, gdy moralisci z patetyczną flegmą preparują truposzkę bourgetowskiego, — tego przedbiegacza wszyst-

kich heroldów obrzucają bez namysłu błotem: on jest żywszy, a więc niebezpieczniejszy, on wnosi więcej życia i fermentu naokół, niżli, wystygłszy, sam w to w przyszłości uwierzyć zechce.

Bo wszystko, co się tu rzekło, ma swe bardzo określone granice młodości. Gdy to jej żywiołowe kojarzenie bujnego temperamentu z bystrym duchem osłabiają doznane krzywdy i roztropność, wówczas ze wszystkich postępów pocnie wyzierać płaskie i zezujące oblicze sprytu. Moralisci wiedzą, że to jest w życiu człowieka pora kompromisów, czynią też pierwsze kroki do pojednania pod wspólnym płaszczem obłudy.

Owe „trzy czwarte,“ tu milczeniem pominięte, zasługują może, prócz wzruszenia ramion, na refleksyę na temat intelektualnego murzynizmu, wypowiadającego się całkowicie w bujnym fermentcie młodości, przy obfitości i nadmiarze gestów. — „Uebermensch“ z przedwczoraj dogorywają dziś duchowo jako bardzo uległe piony po biurach, tych katakumbach tyłu naszych zdolności za ostatnie lat 40. Murzynizm ten pojęty został przez praktyczny rozsądek jako zasada ogólna i doprowadził do brutalnego wprost lekceważenia wszelkiego intelektualizmu ze strony wszystkich autorités i notabilités uroczystego zastoju.

Nadczołowieczeństwo realne i dzisiejsze, nadczołowieczeństwo z farsy jest, jak się rzekło, wynikiem nieporozumienia między młodą i starą naiwnością. Każde zamierzone wcielenie ideału w bezpośrednią realność może dać w rezultacie zawsze tylko karykaturę. Ideał skrzepia wolę temu tylko, kto prócz woli ma jeszcze i cel własny: ma go w sercu, w głowie, w trzewiach nieomal; kto jest fatalnością zamierzonego dzieła, jest na nie piętnowany właściwościami swego umysłu i doskonale udałem ciałem. A że takich ludzi dziś prawie niema, więc nadczołowiekowi zbraknąć może nawet ewolucyjnego materiału dla najdalszej bodaj przyszłości.

Wspomnieliśmy, że Zaratustra może się stać łatwo wiecznym zwiastunem samego siebie, że tego proggu nadziei gotów nigdy nie przekroczyć. Instynktu i woli ze

swej krynicy ludziom on nie doleje: im głębsza studnia, tem wątpliwsze w niej te właśnie dary.—Czy, gdy uśpio-  
ne, nie zbudzą się one raczej wobec tego, co na pozór  
tak lekkie i zewnętrzne, jak ów „piękna świąty śmiech  
i drzenie?“ Czy nie zbudzi ich raczej to, o czem raz je-  
den zdarzyło się marzyć nawet Zaratustrze: — „to najcich-  
sze, to najlżejsze, jaszczurki jednej szmer, jedno tchnienie,  
jeden mig, oka jedno mgnienie:“ — szczęście!?. .

Zaś najmniej zdoła Zaratustra udzielić owych mocy tym,  
dla których z piersiby je sobie wydarł i w ich żyły prze-  
lał: przyjaciołom swym! — tym, którzy własną myślą po-  
łowę jego drogi już przeszli i zatrzymali się bezwolnie nad  
przepaścią nihilizmu: dzisiejszym ludziom wyższym.  
Współczucie dla nich było wszak ostatnim grzechem  
i ostatniem pokuszeniem Zaratustry: wszakże nim ostatnie  
południe nadeszło, minął temu współczuciu czas.

„Nie na was oczekuję w tych górach... Nie! nie!  
potrzykroć nie!.. Czekam na wyższych, bardziej krzep-  
kich i zwyciężkich, na dorodniejszych ciałem i duchem:  
śmiejące się lwy przyjść tu muszą.“

W ich nadejście, bodaj w najdalszej przyszłości, wierzy  
wraz z Zaratustrą i Nietzsche, opierając się na teoriach  
descendencji, w ich koncepcyi z przed 40 lat, pojmowa  
nej przytem dosyć ogólnikowo. Krytykowany w wielu  
miejscach Darwin (krytykowany czasem za siebie, częściej  
za Lamarcka) zostaje tu akceptowany dosyć bezwzględnie  
k'woli ogólnemu zużytkowaniu zasady przemiany gatun-  
ków w sensie postępowego ich rozwoju i celowej ho-  
dowli w kierunku fizycznego i intelektualnego udoskona-  
lenia rasy ludzkiej.

To marzenie dzisiejszych humanistów, antropologów  
i lekarzy pozostaje tymczasem marzeniem, opartem na  
hypotezie, chwiejnej w zastosowaniu nawet do hodowli  
zwierząt, podlegającej dziś zwłaszcza ściślejszej rewizyi

i doświadczeniom w kierunku już wyłącznie naukowym. — Co się tyczy ludzi, to potężny czynnik życia społecznego, czynnik t. z. ekonomiczny (od którego pojęcie „walki o byt“ wywodzi się wszak genetycznie) będzie nikłe zabiegi „hodowli“ niweczył w olbrzymich masach ludności. Potęgując stokrotnie walkę o byt, odwraca on wszak jej naturalne wyniki wprost na opak. Zwycięzki struggle-for-lifer nie ma nic wspólnego z fizyczną lub intelektualną wyższością, a najmniej chyba ze śmiejącym się lwem.

Tenże czynnik paraliżuje całkowicie regulującą i utrwalającą moc doboru płciowego, zostawiając otwarte pole dla chaosu nietylko ras, plemion i warstw, cech narodowych i właściwości klimatycznych, lecz dla znamion uwstecznienia, kalectwa i chorobliwości.

W Spencerowskiej formule „przeżycie i utrwalenie najbardziej dostosowanego“ mieści się przedewszystkiem i najlepiej: „przeżycie miernego.“ Nie brakłoby na to przykładów ze świata roślinnego i zwierzęcego; a takim bywa niechybnie zwycięzki typ czynnika ekonomicznego. — Poza-tem, w tejsze formule mieści się doskonale: przeżycie skarłałego, najmniej wymagającego od życia, ekspensującego natomiast całkowitą energię na rozmnażanie się naj-obfitsze. Przykładem w naturze są te uwstecznienia pasorzytnicze, w których zwierzę, tracąc kończyny i organy wszelkie, całą nawet treść ciała, zamienia się w wór jaj, w którego otworze pasorzytuje znów do mikroskopowych rozmiarów zmarniały samiec. Czynnik ekonomiczny bierze pośród ludzi i tę species w szczególną opiekę, doprowadzając metaforycznie do podobnych mniej więcej rezultatów.

Formuła Spencerowska wyklucza całkowicie przeżycie i utrwalenie się typu pod względem budowy i czynności najbardziej złożonego, ujawniającego największą sumę energii w najróżnorodniejszych jej przejawach, a więc

typu doskonałego. Czyni to również i całokształt teorii Darwina w jej konsekwentnem zastosowaniu do człowieka. — Z piekielnego kotła, jakim pod tym kątem widzenia jest dzisiejsze plenie się ludzi, można dobyć nie ideał, lecz najczarniejszą grozę przyszłości. Zdawał sobie z tego sprawę i Darwin pod koniec życia; było to, jak sam powiada, zgryzotą jego starości.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa z dzisiejszego punktu widzenia, którego nie uwzględniał, a po części nie mógł jeszcze uwzględnić Nietzsche. — Zakwestyonowana dziedziczność cech nabytych, będąc poważnym szkopułem dla konsekwentnego rozwinięcia darwinizmu, przenosi punkt ciężkości spraw descendencji z indywidualności cielesnej zwierzęcia, będącego w bezpośredniem zetknięciu i walce z otoczeniem, w stokroć głębsze i bardziej zawile tajniki indywidualności komórek rozrodczych. Dokładniejsza rewizya doświadczeń hodowców poucza, że nowe odmiany nie powstają bynajmniej drogą darwinistycznego schematu; one zdają się jawić „nagle i niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza w całkowitym rynsztunku nowych właściwości i cech.“ I wówczas regularna dziedziczność podlega pewnemu zachwianiu w szeregu pokoleń: nowa odmiana bądź utrwała się na zawsze, bądź też, mimo krzyżowania z odpowiednio zmienionemi, powraca do dawnego typu; — rzeczy w praktyce już dawniej znane i mające u hodowców specjalną nawet terminologię. — U niektórych roślin dało się stwierdzić w onym okresie zachwiania dziedziczności w dotychczas równym łańcuchu pewną rytmikę w pokoleniach i zmianach, dającą się może ująć w wyraz matematyczny. Co więc w szeregu egzystencji jednostkowych wydaje się nagłem i niespodzianem, ma swe głębsze powody i przyczyny (oraz inne ich falowania niżli rytmika istnień indywidualnych) w długim (nieskończonym?) genetycznym łańcuchu komórek rozrodczych, wobec których jednostka jest niby krótkotrwałą skorupą, niby rychło przemijającym pędem trwałego podziemnego korzenia.

Tak więc, obok potężnych czynników descendencji wskazanych przez Darwina, wyjawiają się nowe, snadź ważniejsze. I skorupa może oddziaływać na genetyczne jądro przez dobór płciowy,



oraz przecinanie pewnych łańcuchów genetycznych w walce o byt. Na pierwszy plan występuje jednak zagadnienie układu sił w komórce genetycznej i zmiany zachodzące w historii tejże komórki. Cokolwiek utrzymywaliby hodowcy, osiągnięte przez nich rezultaty są szczęśliwym utrwaleniem szczęśliwych przypadków. Nabyte cechy nie oddziałują bezpośrednio na komórkę rozrodczą, a ujawnienie nowych cech i właściwości ma swój początek w głębokim i wiecznym (?) źródle komórki rozrodczej.

Te wszystkie sprawy, dziś bynajmniej jeszcze nie jasne, komplikują się niesłychanie pod wieloma względami (choćaby przez dopuszczenie pośredniego oddziaływania komórek somatycznych na rozrodczą).

Bądź co bądź narzucają one uwadze z tem większym naciskiem najważniejszy czynnik wszelkiej ewolucji: czas, potęgując go do rozmiarów, które mogą być mgieniem w historii ziemi, okresem długim w historii gatunku, ale dla historii cywilizacji stają się nieomal wiecznością, czyniąc wszelkie marzenia cywilizacyjnej hodowli człowieka już zbyt iluzorycznymi.

To, z konieczności zbyt zwięzłe, omówienie spraw descendencji było niezbędne dla tego właśnie wniosku, oraz dla wskazania, jak bardzo pokładanie nadziei w sztucznej hodowli przenosi punkt ciężkości koncepcji nadczłowieka, czyniąc z ideału myśliciela i poety, z potężnej dźwigni psychicznej utopię przyrodniczą i społeczną.

To ostateczne oparcie ideału na schematycznym darwinizmie jest u Nietzschego ostatnim podźwięciem dawnego pozytywizmu.

Tu zaś idzie przede wszystkim o ewolucję tych właściwości psychicznych, którym na wspak działa układ wszystkich sił społeczno-ekonomicznego rozwoju, wszystkie potęgi descendencji. Nadmiarem skupionej w jednym osobniku energii stwarza sobie gatunek wroga, wychodzącego po za szranki jego interesów. (Podobnie nadmiarem skupionej w jednym narodzie kultury wytwarza naród wroga swych namacalnych, materyalnych interesów: wybują, schyłkowy indywidualizm, wraz z jego kosmopolityzmem).

Wśród miliona lichych płonek, jeden monstrualny wyrostek odrywa się niejako od podziemnego, trwałego korzenia, wiezie życie samodzielne i rozmnaża się inną drogą: jakby pąkami — w sferze ducha.

Czy, mimo niedającej się wykluczyć możliwości pewnej ewolucji psychicznej człowieka, wszystkie utopijne szczyty nie pozostaną zawsze tam, gdzie ideał jest bądź co bądź bardziej u siebie w domu: w sferze ducha? Czy o jego powstaniu i utrwaleniu się nie będą decydowały czynniki dziś niemniej potężne: „walka o byt“ duchowy i „dobór“ pracowników z duchowego powinowactwa? Czy nie wytworzą oni przedewszystkiem tej atmosfery, w której będą mogły wreszcie dojrzewać i ujawniać się, dziś tłumione i paczone, najradsze, najcelniejsze okazy człowieczeństwa?

Bo tak często używane, nadużywane niemal, słowo kultura ma i dla Nietzschego, jak dla wszystkich wykwintniejszych umysłów wieku, ten tylko cel i to dążenie. Zewnętrzna zwartość i harmonia, piętnowana t. z. „stylem“ epoki, jest tylko jej powłoką, drogocenną skrzynią, w której spoczywają jej skarby duchowe, złożone przez owe najcelniejsze dusze.

Tą miarą mierzy też ludzkość wartość każdego narodu.

O klanach, czy też rodach władców dusz, nie wie nic nietylko historia, o nich milczy i legenda: tak dalekie były doświadczenia ludzkie od pomyślenia tej możliwości. W legendzie i historii, jak i na oceanie bezkresnych możliwości natury, jawią się oni „nagle i niespodzianie, jak Minerwa z głowy Jowisza, w całym rynsztunku“ nowej i potężnej indywidualności. Przy coraz głębszem prze-warstwianiu społeczeństw, bezkresna możliwość ujawnienia tych darów natury zastąpić może myśłom utopię

sztucznego chowu. Morze człowieczeństwa jest większym źródłem życia i przyszłości, niżli najgłębsze nawet krynice w sztucznych opłotkach hodowcy.

A z tego morza występować będzie nie raz jeden, jutrzienka ideału w sferze czucia, wiedzy i woli: świętego, mędrca i twórcy zarazem.



IV.



to moja droga,—mówił Zaratustra do swych uczniów.—Jaka jest waza? Drogi...? Niemasz jej zgoła!“

Oto moja droga,—mógłby powtórzyć wobec dzieła swego życia. Bo czemu było to wszystko: zagadnienie wartości dzisiejszej oświaty, dzisiejszej kultury wogóle, zagadnienie zrodzone potęgą kontrastu z najdoskonalszą kulturą Greków; czemu było rozszerzenie tego problemu na kulturę moralną, na teorię, genezę i wartość morału dla życia, na genezę i wartość probierza prawdy dla tegoż życia? czemu kult geniuszów jako dźwigni kulturalnych, entuzjazm dla Schopenhauera i Wagnera, krótkie zboczenia w cieśnię angielskiego pozytywizmu, w męskie ślady moralistów francuzkich, aż do nieubłaganej analizy wszystkich

wartości współczesnego życia? Czemże była zuchwała próba „odwrócenia wszystkich wartości,” koncepcya „woli mocy” w przeciwstawieniu do bezprzedmiotowej „woli” schopenhauerowskiej, wreszcie, dla wywyższenia człowieka i życia, stworzenie ideału „nadczołwieka?” Czemże było to wszystko, jeśli nie drogą do samego siebie? Drogowskazy i konieczności tej wędrówki spostrzeże uważny czytelnik już w pierwszych pismach, będących jeszcze, tak co do formy, jak i co do treści, w całkowitej zależności od Schopenhauera. Złota nić jednego celu, zapatrzenie się w coraz to wyraźniej występujący jeden ideał życia rzuca się poprostu w oczy. Jest to rzadki pisarz, którego tomy ostatnie, mimo uprzednich a pozornych zbroczeń i wpływów, odpowiadają na pytania i wątpliwości pierwszych.

*Befreiung*—*oswobodzenie*: to słowo Goethego o twórczości daje i tutaj dużo do myślenia. Czy każda droga duszy nie jest fatalną koniecznością zdzierania z siebie wylin w mozolnem docieraniu świadomości do czegoś, co, poprzez stawanie się wszelkie, właściwie ludzi pociąga i fascynuje,—do istotnie odrębnej własnej jaźni?

Taką jest droga i kres tej wędrówki. A cel jej ostateczny? — „*Celu?* — mógł był odpowiedzieć nie Zaratustra, lecz jego „*Cień*“ — celu? *Niemasz go — zgoła!* Jak niema Boga, dobra, cnoty, prawdy!“

Lecz poprzez tę zawrotną przepaść nihilizmu przeczcił Zaratustra most aż ku wieczności:

Jest życie! oraz jego „wola mocy!“

Życie, powracające koliskiem wiecznego wrotu rzeczy wszelkich, „zawsze jednakie, zawsze sobie równe, zarówno w rzeczach wielkich jak i małych“<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Rzecz wprost niepojęta: Nietzsche ignorował całkowicie pytagorejskie pochodzenie idei wiecznego wrotu. Uważał ją za naj-

Mamyż koniecznie stać się wyznawcami Nietzschego? Czy nie stoimy tu już o krok od innej wiary: od metampsychozy, tem fatalniejszej, że powracającej po wieki wieczne do tożsamości? —

Czy nie spojrzymy na to kolisko, jako na konieczność poety, co, zawleczony przez myśliciela, psychologa i wychowawcę w wir życia, w wolę mocy, przecie ponad nie wzbić się musiał, by na tej paradoksalnej bodaj drodze ciągłego wrotu realnego życia trafić do wrót wieczności?.. „Nigdy nie napotkał kobiety, z którąbym dzieci chciał. Snadź ta jest kobietą, którą kocham.“ — Nie zwie się ona jednak „wolą mocy,“ „wiedzą,“ „mądrością:“ nie kochał snadź dosyć tych kobiet, którym życie swe oddał.

Porywała go snadź fala przechodząca górą ponad całym stworzonym przezeń światem. Nad psychologiem, wychowawcą i mędrce, nad mistrzem nieugiętej siły życiowej, nad burzycielem moralności, nad pogromcą bogów, górowała siła fatalniejsza od śmierci: przemagało go może Fatum, co snadź nie tylko bogami, lecz i bogów pogromcami rządzi, — przemagał go niechybny mus poety, tęsknota każdego twórcy...

E pur si muove: „albowiem kocham ciebie o wieczności!“ —

I na odwrót: dla myśliciela i wychowawcy staje się ten pierścień wiecznego wrotu rzeczy wszelkich najpotęż-

---

szczytniejszą własną koncepcyę, tak przytem w swej potędze przepaściwą i zawrotną, że do objawienia tych swoich najgłębszych myśli przystępował i Zaratustra z tak szczerą trwogą, z tak korną nieufnością we własne siły i z takim poczuciem musu ich wypowiedzenia, iż „w tę najcichszą godzinę“ dobywa się może uczuciowo najgłębszy ton owego wielkiego dramatu twórczej woli, jakim jest wraz z „Zaratustrą“ i życie Nietzschego.

niejszem potwierdzeniem życia i jego „woli mocy“: ostatniem „tak!“ i „amen!“ wygłoszonem (w ostatecznem przeciwieństwie do Schopenhauera) nawet wobec bólu... „Zgiń — mówi człowiek do bólu, — lecz powróć! Bo gdzie głęboki ból, tam rozkosz już już się jawi.“ Bo rozkosz głębiej drga i jest w życiu tchnieniem wieczności. Więc jeśli tylko życiową realnością i tylko bólem da się ta chwila okupić... „Hejże, jeszcze raz!“ woła w Zaratustrze nawet „najszeptniejszy człowiek.“ K’woli tej jednej chwili niech powróci wszystko, co się życiem zwało. Bo ta jedna okupi wszystkie inne; ona, i tylko ona

*za wiecznem życiem tka,  
wieczności chce bez dna, bez dna!*

A to błogosławieństwo bólu k’woli rozkoszy, rozkoszy k’woli jej twórczej głębi i doznaniu za życia tchnienia wieczności: oto prawdziwa „śmiechu korona różańcowa,“ oto złote jabłko życia, jakie konający Zaratustra przerzuca uczniom swoim, szepcąc może stygnącemi wargi: „Hejże, jeszcze raz! niech w pierścieniu wiecznego wrotu rzeczy wszelkich powróci wszystko, co się mojem życiem zwało!“ —

Niech więc i dla nas owo wrotu kolisko wieczne będzie raczej odczuciem bezmiernej potęgi twórczych tęsknot w człowieku, raczej doznaniem bezkresnej pełni człowieczeństwa w geniuszu, które samo przez się jest w życiu tchnieniem wieczności. — Z tem uczuciem, z takimi myślami, łatwo wyrzeczemy się pono wszystkiego, co jest z doktryny i dogmatu w onym „pierścieniu wiecznego wrotu,“ wszystkich nowych artykułów nienowego wyznania.

I z tem jeszcze trudno przyjdzie pogodzić się dzisiejszemu człowiekowi: jego przekonania zdają się mimo wszystko chylić ku temu, że, choćby nawet w świecie

rzeczy wszystko już było, każda twórczo ujawniająca się dusza jest czemś, czego jeszcze nie było. A czy te jej wysiłki wpadają w otchłań nicości, czy wplatają się w pierścień wiecznego wrotu rzeczy wszelkich, czy też zlewają się wszystkie w jakąś jednię wszystkokrotną: — by którąkolwiek z tych szali przechylić, bodajby tylko w czuciu ludzkim, potrzeba takiej potęgi sugestywnych środków, jakimi nie rozporządza już geniusz poety. Te środki wytwarza geniusz rasy i wieki całe, a czas osłania je majestatem tajemnicy i objawienia.

Oto siłą kontrastu jawić się muszą dawne tajemnice, ujarzmiające myśl ludzką, na progu grobu. Pominąwszy nawskroś wrogi każdemu słowu Nietzschego kres Nirwany, — przypominać się muszą, naogół mniej wrogie, lecz dla pierścienia wrotu bardziej groźne koncepcje Upaniszad (tych Upaniszad wyprzedzających myśl ludzką na tysiącolecia, a będących np. dla Schopenhauera najgłębszemi księgami świata). Według nich, czas jest złudzeniem Avidyi (omamem wrodzonego realizmu). W języku dzisiejszych filozofów brzmi to za Kantem: czas nie jest istnością, lecz formą myślenia.

I czemże jest wobec tego pierścień wiecznego wrotu? — I tu oto jest filozoficznie słaby jego punkt, o który zahaczyć się on może w swym wiecznym obrocie.

Jak umierał Zaratustra? — zapyta może niejeden, zamykając tę niedokończoną książkę.

A czuć, że ona jest niedokończoną, jak nie mają końca wszystkie książki, mówiące o duszy ludzkiej, jak te księgi wschodu, z których Zaratustra pożyczył sobie imienia, a tu i owdzie nawet i formy. Po raz ostatni widzimy Zaratustrę, gdy, promienny niby jutrznia, schodzi z gór naprzeciw, już nie uczniom, lecz samodzielnym dzieciom



ducha swego. To pytanie, domagające się mroku i śmierci, może się wydać trywialnym dysonansem, wobec ogromnej pogody owego święta świąt: południa dnia siódmego, kiedy siewca po plon swój schodzi. A jednak ta przyczyna zewnętrzna, kończąc dzieło formalnie, wywołać musi raz jeszcze zadrganie przyczyn ostatecznych, i to najsilniejsze.

Tak pytający nie zdziwi się więc zbyt, znalazłszy w pismach pośmiertnych szkic na Część Piątą Zaratustry, a w jej zakończeniu zarys takiej oto sceny pod tytułem „Południe i wieczność:“

— Miasto zadżumione. Uczniowie powstrzymują Zaratustrę i chcą mu bronić wstępu w mury miejskie: on wstępuje nietrwożny. Przeciągają wielkim korowodem wszystkie formy pesymizmu: żądza „odmiany,“ żądza „nie,“ żądza „nicości.“ Zaratustra daje swe zwykłe objaśnienie: Bóg umarł, miałożby to być przyczyną największego niebezpieczeństwa? Zali nie powinno się to stać powodem największej otuchy? — Opuszczony przez przyjaciół (pociągniętych zapewne w trwodze przed dżumą korowodem pesymizmu) kona sam. Błogosławiąc wszystkim doznaniom swego życia, umiera błogosławiący. —

Przedewszystkiem jest w tym surowym szkicu zapowiedź potężnego końcowego akordu. Pozatem mówi to wiele o „Południu.“ (Chociażby ten korowód pesymizmu, jednak i mimo wszystko w ostatnią godzinę życia, to poniechanie przyjaciół, to błogosławieństwo udzielone nawet dżumie z pełni i nadmiaru własnego szczęścia!)—Do „wieczności,“ do pierścienia wrotu rzeczy wszelkich nie dorzuca ten szkic nic zgoła.

Wiemy wszakże już!—radosne potwierdzenie samego siebie stworzyło ów pierścień wrotu: w radosnem poczu-

ciu dokonanego dzieła życia błogosławi Zaratustra wszystkie swe doznania na ich wieczne wroty, a bezkresna zachłanność takiego szczęścia wszechświat cały za sobą pociąga.

Krańcowe przeciwieństwa mają nieraz bynajmniej nieprzypadkowe ku sobie pochylenia, niby bieguny odmiennej elektryczności, między którymi iskra światła paść musi. A gdy o tych tajemnicach grobu mowa, są jako dwie jedną grozą brzemiennie chmury, które wiąże błyskawica. K'woli takim przeciwieństwom niech tu będzie przytoczona modlitwa konającego z upaniszady *Isi*, modlitwa do słońca, aby rozchyliwszy promienie swe okazało czcicielowi prawdy tajemię bytu. Może krótki błysk światła między temi przeciwieństwami pozwoli przynajmniej wyczuć, co w nich jest z przeciwieństwa dusz i czasów, a co z zawsze jednakiej konieczności ludzkiego ducha:

*„Jak złotą tarczą przystonięte  
 „Jest prawdy łono tajemnicze.  
 „O, uchył słońce twą przyłbicę,  
 „Niech czciciel ujrzą tajemie święte!*

„O Sł o Ń c e, niebios wędrowcze ty samotny, wszech-  
 „widzu jedyny, Boże promienny, Pratwórcy synu,  
 „rozchyl promienie swe i w siebie wchłoń przepych swój  
 „ognisty! Widzę już, widzę postać tę przejasną: Istota  
 „w wnętrzu twem — to jestem ja!

„A teraz oddech mój niechaj wchłonie tchnienie  
 „wszechświat przenikające, Tchnienie przedwieczne;  
 „a ciało to niech ogień w popiół rozsypie... O, duchu,  
 „pomnij, na dzieło swe pomnij! O, duchu, pomnij, na  
 „swe dzieło pomnij!

*„Niech Światło wiedzie nas, najprostszą wiedzie z dróg  
„Do końca wszechświatów dzieł, dróg wszelkich świadom Bóg!“<sup>1)</sup>*

W zmięczeniu bogów wszystkich ten jeden żyje jeszcze w duszy współczesnej i on to w niej rodzi pragnienie drogi do dzieła najprostszego, drogi wolnej do samego siebie! W zamęcie czasów dzisiejszych, wśród „zmięczenia bożyszczy“ wszelkich, wśród ruin i gruzów starych „wartości“, poprzez trzęsawiska wszelkiej obłudy, pragnął Nietzsche przerażać drogę do dzieła najprostszym, co twórcze, co przyszłość wywyższonego człowieka ze sobą niesie. A czy tego władcę przyszłości nazwiemy „nadczłowiekiem“, czy też człowiekiem tylko w przeciwstawieniu do dzisiejszych skarlałych, istotą o żrącem i pełnym człowieczeństwie, — to jest przecież tylko rzeczą imienia.

Choć więc podręczniki nie zapiszą Nietzschego między wielkich filozofów, choć „literatury“ nie znumifikują go rychło, jako wielkiego poety, stał się on przecie fatalnym przeznaczeniem czasów dzisiejszych: imienia tego myślący człowiek ominąć nie może, jak nie zdoła uchylić się od wewnętrznej rewizji wszystkich „wartości“ dzisiejszego życia, wszystkich nakazów moralu i ideału. Ominąć to wszystko znudzeniem potrafi tylko pajac, przyklejać się do liter i tomów tylko ślimak, karmić się wyłącznie negacją wszelkich wartości, oraz z konieczności tylko przełkniętym wraz z nią „ideałem“, zdoła wyłącznie prze-

<sup>1)</sup> Tłóm. na podstawie przekładu Sitarama Sastri (The Isa, Kena and Mundaka Upanishads) oraz Deussena (60 Upan. des Veda). Angielski przekład doskonale dosłowny i całkowicie martwy, niemiecki z większym niby połotem, lecz i znacznie większą dowolnością. Tylko zestawienie obu może skontrolować polski przekład.

Ostatni refren jest według komentatora modlitwą otaczających.

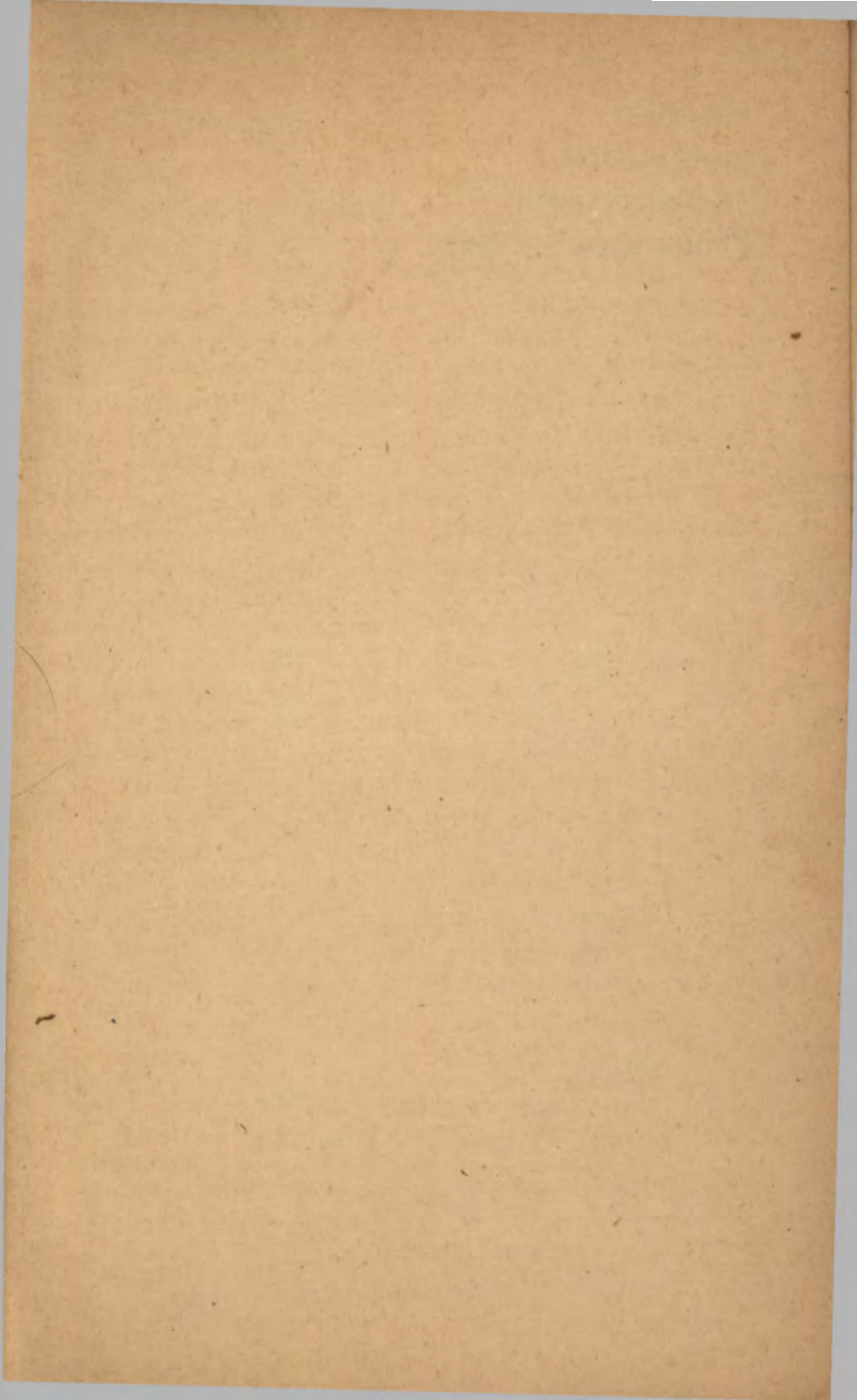
zuwacz; wysnuwać wreszcie z tego wszystkiego dyrektywy życiowego łupiestwa umie pospolity opryszek, dla którego każda idea czasu przychodzi w porę, aby pozorować i osłaniać manipulacye zawsze chciwych palców. Zaś szaty rozdzierać będą stale ci wszyscy, którym to łatwiej przychodzi od myślenia i bardziej się ponadto opłaca.

Będzie Nietzsche długie jeszcze czasy „biegnącym ogniem,“ budzącym wszystko gnuśne, wypłaszającym z kryjówek wszystko zakłamate, będzie wreszcie tem, czem od pierwszego wnিকnienia w życie stać się zamierzył: — „wychowawcą, hodowcą, sformego chowu mistrzem, który niedarmo nawoływał niegdyś samego siebie: „Stań się, kim jesteś! — 1).

---

1) Ten szkic „zamiast wstępu“ ma być przede wszystkim wprowadzeniem i pierwszym akordem dla tych, którzy pisma Nietzschego po raz pierwszy do rąk wezmą. Ani wyczerpujące omówienie spraw duchowości współczesnej, o których tu przeważnie mowa, ani metodyczne rozpatrzenie wszystkich pism Nietzschego w ich rozgałęzieniach w dziedzinę teorii poznania, nie było i nie mogło być moim zamiarem. Suplement do dzieł wydawanych w przekładzie polskim zawierać będzie studjum tego charakteru innego pióra. Niecierpliwy czytelnik znajdzie tymczasem zarówno w polskim jak i obcych językach niejedną rozprawę „o filozofii“ Nietzschego. W suplemencie znajdzie się wykaz najważniejszych.





Inicyały,  
użyte w książ-  
ce tej, rysował  
Franciszek Wojtala.

Tłoczono w zakładach Tow. Akc.  
S. Orgelbranda Synów w Warsza-  
wie, dla J. MORTKOWICZA.  
Składał i łącał J. Perzak,  
odbijał Al. Tatarowski.